

Plagi żywota

str. 7



DLACZEGO ?

str. 6



Kulisy Wielkiego Sledziwa str. 8

BOGUSŁAW HOLUB

PO-SU-CHA

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 1 listopada 1959 r.

Cena 1 zł Nr 44 (88)

czyli biedy bogatego powiatu

Kutnowianie twierdzą, że kto nie zna Kutna, ten nie zna życia. Nie ma nie prostszego, aby tam właśnie, na ziemi kutnowskiej uzupełnić życiową edukację. Przez kilka dni poznałem wiele gromad, ludzi i ich spraw. Moje spostrzeżenia dedykuję malkontentom i... optymistom.

Ziemia bez wody

Dąbrowice. Na polu jakiś chłop łupał kilofem ziemię. Obok niego chybotwała się na sztyliksu łopata kobieta, z

rozbitych brył wyłuskiwali buraki cukrowe. Nie były większe, od dużej pietruszki. Piekielna robota.

Cukrownicy twierdzą, że wyprodukują z nich tyle sa-

mo cukru, co w roku ubiegłym. Ciepłe, słoneczne lato, nasyciło buraki większą niż przeciętnie ilością cukru. Nieco dalej zagony zasiane oziminą. Na metrze kwadratowym nie dostrzegłem więcej, jak 15-20 złotych kielków wygrzebanych na powierzchni ziemi.

Jeśli nie spadnie deszcz i one uschną.

Urodzajna kutnowska ziemia bez wody, stała się jałowym stepem. Nie dziwię się, w tym roku na Saharze notowano 440 milimetrów opadów. W Kutnowskim zaledwie 257.

Przezorniejsi chłopcy nie siali jeszcze ozimin. Wystarczy im, że zmarnowali nasiona poplonów. Wiem, że powiat kutnowski posiada bodajże największą w Polsce ilość gruntów ornych. Łąki i pastwiska zajmują tu zaledwie 8 proc. ogólnego obszaru ziemi. To tyle co nie. Co roku siano tu dużo poplonów. Brak zielonej paszy dla bydła, w tym roku to główna bieda kutnowskich ro-



Dalszy ciąg na str. 5

JULIAN BRYSZ

BAL W „SAVOYU”

Copyright by „Svatka” — bureau matrimonial Automne 1959



Czy tak wyglądał bal w „Savoyu”?

Clou sezonu! Bal jesienny! Zwany także balem samotnych. Okazja! Zamiast szukać wybranki z ankiety i odbywać kolejki spotkań, wielka i jedyna szansa spotkania przyszłego męża lub przyszłej małżonki — w naturze. Grand Choix! Rewia!

Zaproszenie — 120 złotych. W tym 70 złotych konsumpcja: śledzik w śmietanie, sałatka z 1/2 jajka, plasterki szynki, oranżada.

Działo się to nocą upojną z 17 na 18 października br. Było wesoło, choć nobliwie. Następnym bal w karnawale.

OSOBY:

1) „Etatowi” samotni, którzy nie opuszczają żadnego

balu i świetnie się między sobą znają.

2) Grupa chuliganów łagodnych — krzyczą, ale nie biją.

3) Znęcenie nadzieją znalezienia wśród biesiadników swojego ideału — wyraźnie w mniejszości.

4) Konferansjer — albo sepieni lub też dano mu zły mikrofon.

5) Królowa balu, rozwódka, lat około czterdziestu (kto tam zresztą wie).

6) Król balu — strażak, prawdopodobnie ojciec dzieciom.

Confetti, reflektory, kalen-dry wykładają (na wszelki wypadek — ale taki wypadek nie zaszedł). Orkiestra. Buzol.

Nie natura lecz chęć szczerą. Zrobią z ciebie mariażera.

Koniec. Błady świt.

Nadzieja pominiętych

— Proszę pani... z tego nie będzie... Nie odpowiada mi partner.

— I nie ma rozwodu, a najpierw powiedział, że ma... teraz mówi, że się dopiero będzie starał.

— Pijany przyszedł ostatnio... Mówi, że dobrze zarabiał a on ubrania jednego porządnego nie ma... (buzów... ani koszuli).

— Niech pani mu nie po-

JACEK LEBEN

Chodzenie po rozżarzonych węglach



Na Bliskim Wschodzie tak samo zresztą, jak i w Ameryce Południowej zamachy stanu, rewolucje pałacowe, policyjne i wojskowe są rzeczą codzienną. Składa się na to cały szereg przyczyn, a m. in. temperament polityczny ludności. Ale to, co się dzieje w Iraku, to już jest powyżej wszelkich norm. 15-miesięczny okres istnienia Republiki Irackiej, to jeden łańcuch rewolt i zamachów. Rozpoczął plk Aref, drugi człowiek rewolucji irackiej po premierze



Kassemie. Aref opaczność przywódca prawicy nacjonalistycznej opowiedział się za natychmiastowym przyłączeniem Iraku do Zjednoczonej Republiki Arabskiej. Aref został aresztowany i skazany na

karę śmierci. Wyroku jednak jak dotąd nie wykonano.

Kilka miesięcy później wybuchła rewolta w Mossulu. Po jej zdławieniu zbun-

Defilada kawalerii armii irackiej w pobliżu Bagdadu

(Dokończenie na str. 4)

Dalszy ciąg na str. 3

Kultura za 6.500 zł

Kiedy chodziłem do szkoły średniej, a było to tuż po pierwszej wojnie światowej, walkowaliśmy do znużenia taki temat — cywilizacja czy kultura? I dochodził do wniosku, że i jedna i druga. Ale wpróżd musi być kultura. Bo co? Malpa? A nawet gdyby zamiast brzytwy dać malpie telewizor — to co? Wiesław Jażdżyński radzi „częściowo odrywać czy o księżki” (dosłownie!) i skierować je na telewizor. Lecz czy to automatycznie załatwia sprawę kultury? Oczywiście. Brzytwa może nas malpa zarząca, ale i telewizorem może być rozwalić. Tak właśnie zrobił Hitler, mając w rękach najnowocześniejsze środki techniczne i nienawidząc księży, które nawet palił na stosach, prócz tylko jednej, którą sam napisał p.t. „Mein Kampf”.

Nie należy też zapominać, że słynny amerykański konstruktor rakiet kosmicznych Braun, słusznie uprzedził wiersze Hitlera i, gdyby Hitler zwyciężył, byłby jego apostołem. Ale czy apostołem kultury?

Wiesław Jażdżyński mieszka kulturę z cywilizacją. Należy do tego typu zapóźnionych publicystów, którzy kulturę mierzą ilością zużytego mydła, dosłownie wymienia „nowe, kolorowe domy, gaz, centralne ogrzewanie, pralki, odkurzacze, lodówki, telewizory, motocykle”. Jako nowe wyznaczniki sytuacji kulturalnej człowieka pracy w przeciwieństwie starego wyznacznika, jakim była księżka w zębach tegoż człowieka pracy. Nie negując potrzeby a nawet niezbędności tych wszystkich technicznych udogodnień codziennego życia cywilizacyjnego dla człowieka pracy, chce jednak przypomnieć, że zarówno przed pierwszą jak i przed drugą wojną światową do narodów o największej ilości udogodnień technicznych życia codziennego należeli Niemcy. A jako urządził czynie antykulturolni? Nawet ludożercy z Nowej Gwinej nie potrafiliby lepiej! Ktoś powie, to nie Niemcy byli sprawcami tych dwóch kolejnych rzezi światowych, tylko Kaiser Wilbur i schoener Adolf. Ale okazuje się, że oni obaj byli właśnie najgorętszymi protektorami nowych wynalazków technicznych, i największymi „czyszcicielami” wśród swoich rodaków. Hitler np. przyszywał swój sławny wąsik co drugi dzień, golił się dwa razy dziennie, kąpał się ponoć czterzy razy na dobę, a ręce mył co pół godziny. Mimo tego budował najnowocześniejsze krematoria, spalił najnowocześniejszym sposobem kilkadziesiąt tysięcy młast i osiedli i wymordował najnowocześniejszymi środkami technicznymi kilkadziesiąt milionów ludzi, w dodatku z ich tłuszczu wyprodukował własne mydło. Trzeba dodać także: najnowocześniejszym sposobem technicznym.

Wiesław Jażdżyński zaraz na początku swego artykułu p.t. „Kultura za 6.500 zł” chwali się, że jest w stosunku do mnie bardziej „postępowy”, bo wierzy w lot człowieka na księżyc, a ja wątpię. A niechże mu będzie. Jest młodszy ode mnie, ma złudzenia. Tylko przyjrzyjmy się nieco tej jego postępowości. Wymienia „pastuszkę z księżką” (dosłownie!). Wolalby, żeby ten pastuszek pobierał kulturę zamiast z księżki wprost z telewizora. I gdy do tego zrobił się jeszcze, że ów pastuszek nie będzie „bez pasty do zębów, bez mydła” (dosłownie!), to właściwie sprawa jego „kultury” będzie załatwiona. Przypomina mi to owego z zeszłego wieku wiejs-

kiego analfabeta, wracającego z robot sezonowych w Prusach z zegarkiem na złotej dewizce, z binoklami na nosie (choć wzrok miał jak sokół). Ow zegarek i owe binokle uważał za wykładnik kultury. Ale czytał nadal nie umiał i nos wycierał po dawnemu w palce.

Sukcesowi zawsze towarzyszy pewnego rodzaju fetyszizm. Fetyszizm techniki zrodził się na nie wątpliwie zadziwiających rezultatów w tej dziedzinie wiedzy. Ale czy to „wypaczenie” nie dzieje się czasem kosztem zapóźnienia w innych dziedzinach wiedzy? Te właśnie troskę wyraziłem w mojej żartobliwej zresztą „notatce naiwnego” przed trzema laty, zwracając uwagę na tę zaistniałą żenującą dysproporcję między projektowanymi lotem na księżyc, a bezradnością nauki wobec trapiących ludzkość chorób, jak katar, grypa, gruźlica i rak, jak wreszcie instynkty ludoobójcze w społeczeństwie mylących zębów i używających telewizora. Ale Jażdżyński każe mi wierzyć, że telewizor zbawi świat. Ot, powiada, hrabia Popieł nie wierzył sto lat temu w statek parowy na Wisłę, a ja nie wierzę w lot człowieka na księżyc. Różnica jednak między hrabią Popiełem a mną jest ta, że on ten statek parowy widział na Wisłę, a ja tego człowieka z telewizorem na księżycu jeszcze nie widzę, — ani nawet Łajki, ani nawet pchły z Łajki. Ale Jażdżyński już widzi, bo on wierzy, bo on ma potrzebę wiary. A ja nie wierzę, dopóki nie zobaczę. Ale ponieważ on wierzy w to czego jeszcze nie ma, więc swoje wierzenie podaje za rzeczywistość. Wbrew ostróżnym i młarodajnym opiniom postępowych uczonych z tej dziedziny (patrz odpowiedni numer „Nowej Kultury”), Bo ci uczeni

nie wierzą w cuda, ale Jażdżyński wierzy, podobnie jak baba, która ujrawszy odbicie księżycy na jednym z dachów kościelnych, krzyknęła, że to cud. I niektórzy uwierzyli w ten cud, bo chcieli, żeby był cud.

„Telewizor — to cud XX wieku” — powiada Jażdżyński. On koniecznie jako człowiek warty potrzebuje cudów. Ileż to jest tych cudów XX wieku! Chce go zapewnić, że telewizor nie jest ani najnowszym, ani najwspanialszym cudem XX wieku. Mimo to, ja przed żadnym z nich, z tych cudów nie kłękam. Kłękabym natomiast przed takim, który by uwolnił ludzkość od kataru, grypy, raka i wżajemnych mordów. Jażdżyński widzi człowieka na księżycu, a nie widzi ludożerców na ziemi. Tych właśnie, których stać na wydatek 6.500 złotych, żeby kupić telewizor. Mimo to kultury kupić nie mogą. A Jażdżyński twierdzi, że tylko dlatego z „kulturą masową” jest źle, że „robotnicy nie kupują telewizorów, gdyż brakuje im przeważnie po 6.500 złotych, do pełnej sumy”. Ach, jakże łatwo nabyć i rozpowszechnić kulturę. Wystarczy mieć telewizor i jednak chyba czytać, a może tylko przegadać „Przekrój”. Prawda? I wszystko dzięki samej „technice, jak pisze kasiłowie Jażdżyński, która i na księżyc trafia, mimo protestów Mariana Piechała”. Ależ nie, nie protestuję! Przeciwnie, żyję jak najgoręcej, żeby nie tylko technika, ale nawet sam Jażdżyński trafił jak najprędzej na księżyc. Oszedłby nam przynajmniej tak głębokich rozważań o kulturze i jej upowszechnieniu za jedne 6.500 złotych.

Tyle na razie mam do powiedzenia jako humanista, którego symbolem jest księżka.

„Nie nas chrzanobujdzić bujdochrzanem”

Z okazji perspektyw, jakie odsłoniły się przed współczesną nauką pisał Marian Piechal:

„O, co za bujda z chrzanem! Nie nas bujać! Nie nas chrzanieć! Nie nas chrzanobujdzić bujdochrzanem. Ochrzaniona bujda wcale nie jest lepsza od obujanego chrzanu! Przedz Amazonka wpadnie do Wisły, a Wisła do Jang-tse-kiangu, nim jakikolwiek człowiek wyładuje na księżycu — zarówno na tym prawdziwym, jak i na tym sztucznym. Bo ten sztuczny księżyc i człowiek na nim też niegorsza bujda z chrzanem samozaklamowanego i samoodurnionego XX wieku, który od nadmiaru mądrości i wiedzy zgłupiał, przekroczył granicę zdrowego rozsądku i stanął na głowie! Jeżeli nie mam racji, to możecie mi w roku 2000 dać kopniaka w czaszkę albo w żebro”. („Kronika”, nr 19 1—16.57).

Warto przy okazji dodać, że w tym samym numerze, na tej samej stronie, gromił Mariana Piechała hrabia Popieł, za jego wrogi stosunek do nauki.

Powiększy cytaty można przytoczyć z prostej troski o czaszkę i żebro świetnego poety. Te części jego ciała mogłyby zostać naruszone przedterminowo, ponieważ sztuczne księżycy szubują w przestworzach już dziś. Wie-

ząc jednak w ludzką wyrozumiałość przytaczam ten cytat z innych powodów. Chodzi mi o uchwycenie miary anachronizmu, jakie mu uległ znany poeta. Przypomina mi się w tym momencie list, otrzymaliśmy go od pewnego człowieka, który nie wierzy w to, że ziemia kręci się wokół słońca. No a Marian Piechal nie wierzy w sputniki, póki mu Łajki nie pokażą, lub jej pchły. Zaangażowanie pchły w naukowe dowodzenie wydaje mi się wyjątkowo trafne, gdyż — jak wiadomo — jedna pchła jest zupełnie niepodobna do drugiej. Niepokoimnie wszakże taka możliwość — czy poeta wierzy w istnienie Nowego Jorku? Cóż, że gazety, radio, fotoreportery, czy telewizja wspominają często Nowy Jork, kiedy go Marian Piechal nie widział? Jakże tu dyskutować?

Wmawia mi poeta-laureat, że pomieszałem kulturę z cywilizacją. Przebóg! Tego przecież pomieszać niepodobna! Pomijając już naukę, każdy rozsądny człowiek uznaje fakty kulturalne natury duchowej i materialnej, to są po prostu dwie strony tego samego medalu. Nie ma książki bez drukarni, bez cierpliwego papieru nie byłoby felietonu Mariana Piechała. Owszem, ponad dwieście lat temu pisał Ruskini, że postępy nauki i techniki u-

nemożliwiają rozwój prawdziwej kultury, a Rousseau dodawał, iż nauka i technika to wymysł oszustów i gwałcieli. Gdybyż to Piechal powtórzył na poziomie swoich prekursorów! A on sobie tak po swojemu, na zasadzie rozumowania — ziemia to matka nasza, matka to anioł, anioł to stróż, stróż to małe piwo — dowiodł? podobieństwa między moimi poglądami i Hitlera. Jakże tu dyskusować?

Nie znajdując tedy powodów do dyskusji proponuję: 1. Ufundować dla Mariana Piechała stypendium na wyjazd (kto wie, czy mu w końcu o to nie chodzi) do Związku Radzieckiego i innych krajów, aby zobaczył i uwierzył w istnienie sztucznych księżyców, porozmawiał z dumnymi ludźmi naszego wieku, którzy przygotowują się do zdobycia księżycu. Uwierzyć wtedy w Nowy Jork, może się nawet przekona, że to nie XX wiek jest taki „samoodurniony”.

2. Zakupić pocie odpo- wiednie książki na koszt redakcji, aby się dowiedział, że kultura i technika stanowią jedno. Wierzymy w talent Mariana Piechała, odrobi półtorawieczne opóźnienie.

3. Nie wysyłać naszego poety, pod żadnym pozorem nie wysyłać, w przestrzeń kosmiczną. Któż by nas bowiem zabawił na tej ziemi?

NASTĘPNY DO MUZEUM

Prosty humanitaryzm dyktuje zwykłym redaktorom moralny obowiązek chronienia autorów przed ośmieszeniem. Nie wiem, czym naraził się Marian Piechal redaktorowi „Ogłosów”, iż ten uznaje za stosowne drukować jego rzecz: „Kultura za 6500 zł” i wystawić w ten sposób zasłużonego poetę na śmiech publiczny. Może zachodzi tutaj odwrotna sytuacja, iż redaktor nie chce narażać się na Piechałowi? W takim razie trudno zrozumieć, czym naraził się Czytelnicy, którym podaje on mało wybredną strawę. Tak czy owak osobliwa demonstracja „humanisty, którego symbolem jest księżka” pozostaje dla przeciętnego śmiertelnika zjawiskiem niewytłumaczalnym.

Piechal podejmuje polemikę z felietonem Jażdżyńskiego, postulującym unowocześnienie sposobów upowszechniania kultury z pomocą takich środków technicznych jak telewizja — z pozycji „obrony kultury”. Jest to klasyczny przykład dyskursu, w którym jeden mówi o wozie, drugi o koczcie, pierwszy o chlebie — drugi o niebie.

Poeta-humanista — symbol książki, potwierdzający lubo swoje zestawienie z hrabią Popiełem — symbolem obskurantyzmu, daje cówód wątpliwej umiejętności obcowania z treścią, podawaną tradycyjnymi sposobami upo-

wszechniania kultury — tzn. drukowanym tekstem. Mówiąc wyraźniej, poeta wyczytał w felietonie Jażdżyńskiego rzeczy, których ten nigdzie nie powiedział.

Jażdżyński powiada expressis verbis, że „póki będzie istniała potrzeba intymnego, jednostkowego odczuwania faktu kulturalnego, dotąd książka pozostanie najważniejszym elementem oddziaływania, a więc w przybliżeniu do końca świata”, ale też książka przestaje być elementem oddziaływania kulturalnego jednym. Poeta, na to, że są ludożercy, i że Hitler palił książki na stosie. Jażdżyński powiada, że w naszej praktyce upowszechniania kultury ciągle stawia się na automatyzm działania książki (w sensie drukowania, a nie treści), nie dostrzegając, iż ludzie garna się do takich efektownych i efektywnych środków masowej transmisji jak radio i telewizja. Poeta na to, że malpa może telewi-

zorem rozbić łeb. Wreszcie Jażdżyński radzi działaczowi kulturalnemu, by zechciał (dosłownie): „częściwie odrywać czy od książki, wychodzić poza zacięty krag światli i związać swoje doświadczenie z nowoczesnymi środkami upowszechniania kultury”. Poeta na to, że Jażdżyński namawia ludzi, by nie czytali książek, że „zapóźniony publicysta” miesza kulturę z cywilizacją i w ogóle niemal fetyszysta i faszysta. To ostatnie posądzenie zawiera się w rozlicznych przypomnieniach Hitlera i szczegółów jego biografii.

Oczywiście, w świetle powyższego nie ulega wątpliwości, kto jest zapóźniony i to mocno. Niemniej skoro p. Piechal uraczył nas garścią truizmów, w dodatku, nie zawsze logicznie zestawionych, z czego wynika, że kocha truizmy, tedy mu na koniec da równowagi ducha zaaplikujmy jeden truizm.

Słowo pisane jako środek

międzyludzkiej komunikacji i oparta na nim kultura przechodzi kryzys. Sztukę drukarską, swego czasu jedyną i najdoskonalszą formę porozumiewania się między ludźmi, zastępują a nawet wypierają środki doskonalsze technicznie. W związku z tym faktem różni intelektualiści różnie oceniają sytuację dzisiejszego pisarza i różne zarówno jemu jak i kulturze rokują perspektywy. Christopher Logue np. rysuje przyszłość absurdalnie, powiadając, iż jedynymi książkami jakie pozostaną w użyciu, będą książka telefoniczna i karta restauracyjna. Instynkt samozachowawczy każe mu proponować instytucję „żywych książek”, mających utrwalac dotychczas napisane, wartościowe. Do tej akcji „żywych książek” proponuje zaangażować emerytowanych dyplomatów i generałów.

Jako rzekłem jest to pogląd absurdalny, jako że owe doskonałe środki nowoczesnej

komunikacji operując dźwiękiem i obrazem, wykształcając tylko nawyk oglądania nie są w stanie zastąpić treści refleksyjnych i indywidualnego przeżywania, jakie daje czytanie.

Problem spłylenia sztuki, groźba aintelektualizmu, zubożenia kultury do wypranej z wszelkiej myśli rozrywki dla zmęczonych tempem współczesnego życia, oczywiście, istnieje. Jest to problem trapiący myślicieli wszystkich krajów od Alana Pryce-Jonesa do naszego Kisielewskiego. Jest to wszakże problem wypełnienia radia, filmu i telewizji odpowiednią produkcją artystyczną, problem ich poziomu treściowego, a nie kwestia ich „antykultury”. Ostatecznie, że powiem absolutny truizm, różne bywają książki i technika drukarska, podobnie jak radiowa i telewizyjna, różnym rzeczom mogą służyć. Marian Piechal, który przypominając ludożerców imputuje Jażdżyńskiemu książkożerstwo i kulturożerstwo, albo udaje, że tego nie wie, albo istotnie nie wie.

Co do jego wiary lub niewiary w lot na księżyc, to powstrzymam się od żenujących komentarzy. Zasłużony poeta uparł się, by jeszcze za życia umieścić go w muzeum anachronizmów. Tuż obok hrabiego Popieła. A na Piechała, jak wiadomo, rady nie ma.

Dlatego wyniki ankiety smuć? Dlatego, że owe przewidywania młodzieży są zbyt realne, zbyt pokrywają się z dorosłą wiedzą o tym, co rzeczywiście prawdopodobnie za lat piętnaście nastanie w Polsce.

(Dokończenie na str. 10)

Nasza szkoła

SFINKS CZY ZWIERZĘ DOMOWE?

O czym marzy dziewczyna, gdy dorastać zaczyna? — pytał pewien stary i koszmarny szlagier. Podobne pytanie acz zaadresowane dwupłciowo skierował „Głos Robotniczy” do młodzieży szkolnej. Aby jednak odpowiedź nie wypadła zbyt szlagierowo, u-

jął swą ankietę w ścisłe pytania, dotyczące oceny przeszłości, teraźniejszości i przyszłości w aspekcie bytych, obecnych i przyszłych osiągnięć PRL.

Odtąd „Głos” drukuje wypracowania uczniów, które — jak to wypracowania — trochę są szczere, trochę wykoloryowane i operujące czarno-białymi barwami i po części dają obraz tego, co młodzież myśli, po części zaś tego, co młodzież myśli, że przy takiej okazji trzeba myśleć.

W sumie jest to lektura smutna. Smutna, mimo że optymistycznie radosna. Z tej dwójki uczuć towarzyszących percepcji po-

mieszczanych w „Głosie” wypracowań, oczywiście, się wyłumacze.

Minał już okres, kiedy obiegowym w publicystyce był obraz młodzieży polskiej przykrojony na wzór drobnych elitarnych grupek cyganerii studenckiej. Stworzone wówczas monstrum, które miało się zwać nowym pokoleniem PRL — była to tylko odbitka tychże grupki o bardzo ograniczonym zasięgu promieniowania i to odbitka demonicznie zdeformowana.

Twór ten wymodelowany przy pomocy atramentu na wzór i podobieństwo czełuch na krzyż młodych ludzi z brodami, stworzył z ko-

lej wyłącznie pole do bojowego demaskatorstwa pod hasłem „nasza młodzież nie jest taka!” Ale jaka jest nasza młodzież? Stanęliśmy w obliczu nowego sfinksa. „Głos Robotniczy” poprosił więc sfinksa, żeby przemówił. Sfinks uczynił to z ochotą, przy pomocy gładkich wypracowań i oto stanęło przed nami „zwierzę bardzo domowe”.

„Zwierzę” to powiada, rozpisawszy rzecz na wiele głosów, że kiedyś było niedobrze w Polsce, a teraz jest lepiej.

Przykro mi, lecz nie mogę takich mniemań uważać za sukces propagandowy. (Młodzież czerpie tę wiedzę już z

drugiej reki). Zbyt są one jednak truistyczne i oczywiste. Z biegiem lat obraz przeszłości coraz mniej nadaje się do pełnienia kontrastowej roli dla teraźniejszości. W ZSRR już w „Krokiodylu” mieszkają taey propagandyści, którzy powiadają agiłowani, że za caratu było gorzej. Ekspozowanie takich oczywistości w propagandzie jest wyrazem niewiary w zdrowy rozum odbiorcy.

Wreszcie nasze „młodzieżowe zwierzę” powiada, że w przyszłości będzie jeszcze lepiej. Co oznacza owo „jeszcze lepiej”? Mechanizacja, elektryfikacja, traktor i światło elektryczne. telewi-

zor i motocykl. bita droga i kino. Niektórzy dodają do tych cudów Księżyc i podróż kosmiczną. To ostatnie jest złożeniem realnego pokłonu obowiązującej modzie. Zbyt daleko jakoś od drogi i kina do weekendu na Marsie, aby poważnie traktować oba czynniki jako element jednorodnego marzenia.

BAL W „SAVOYU“

(Dokończenie ze str. 1)

wie, że ja tu na niego do pani mówiłam. Może on jeszcze kiedyś... Ale ze mną to już nie będzie. Żeby się znalazł jakiś porządny mężczyzna od razu i z mieszkaniami...

— Był parę razy, coś tam trochę porobił, maszynkę mi zreperował i żelazko.

— Postawiłam mu pytanie: Mówisz, że dobrze zarabiasz a co robisz z tymi pieniędzmi? Odkładał na książeczkę — powiedział — mam już 10 tysięcy. To przynieś tę książeczkę. I więcej nie pokazał.

Monolog ciągnie się bez przerwy, tylko czasem zmieniają się wykonawcy, trzaskają drzwi, niekiedy przychodzi zaproszenie na ślub — ktoś szczęśliwie dobili do brzegu, ale zaraz ciwną się dziesiątki nowych pragnących za wszelką cenę uwieńczyć życie celem — zawrzeć małżeństwo. Nie odstrasza ich forma pośredni-

ctwa matrymonialnego, droga „kupna — sprzedaży”. Chcą tak — bo innej drogi zabrakło.

W społeczeństwie naszym znalazłoby się wiele przeciwnych sądów na temat działalności biur matrymonialnych. Jedni będą je uważać za siedlisko rozpusty, inni za brutalne zaprzeczenie „normalnej” drogi do szczęścia, za profanowanie ludzkiej miłości. Inni spojrzą na ludzi korzystających z usług biura z politowaniem — jak na „kaleki życiowe”. Znajdą się i tacy, którzy nie spostrzegą nic zdrożnego w pośrednictwie matrymonialnym, a nawet będą chwalić zawarcie małżeństwa przez biuro jako rozsądne, wie się bowiem od razu wszystko o sobie z ankiet personalnych, nim jeszcze znajomość przybierze wyraźne formy.

Poglądów jest mnóstwo, a ich wypadkowa daje w sumie to co społeczeństwo ma aktualnie do powiedzenia na temat małżeństwa.

Wybory miss balu samotnych. W ostatniej chwili wszystko się „przewróciło do góry nogami” i miss okrzyknięto pewną panią, o której mowa pod nr 5 (patrz tekst).

Król balu. Aplauz publiczności i rekordowe tempo w piciu oranzady przez smoczek



Swatka ale dla kogo?

W ciągu trzech lat działalności „Swatki” wstąpiło w związki małżeńskie 220 klientów biura, co w stosunku do ilości małżeństw zawartych w tym czasie w Łodzi stanowi około 0,5 proc.

Kto przychodzi do „Swatki”?

Zaraz po otwarciu biura zaczęli się tam cisnąć ludzie o pewnych ułomnościach fizycznych lub psychicznych zahamowaniach uniemożliwiających zawarcie małże-

stwa „normalną drogą”. Pochodzili z różnych środowisk społecznych, a podstawową przyczyną, która spowodowała szukanie pomocy w „Swatce” była jakaś „wada”.

Dziś już można powiedzieć, że zasadniczą część klientów „Swatki” rekrutuje się ze środowiska robotniczego (zwykle robotników wykwalifikowanych), dalej — rzemieślniczego, w najmniejszym zaś stopniu — inteligentnego (wśród wielu przejranych ankiet znaleźliśmy tylko jednego pracownika naukowego wyższej uczelni i dwóch inżynierów).

Wiek klientów „Swatki” jest wyższy od przeciętnego wieku nowożeńców.

Wzięliśmy metodą „wyrzykową” jedną stronę rejestru klientów biura i zsumowaliśmy wiek wszystkich figurujących tam kobiet. Otrzymałszy w wyniku liczbę 1.086 lat co daje ponad 36 na osobę. Najmłodsza kandydatka miała lat 20, najstarsza 57. Ośmiu kobiet było po dwudziestce, siedem po czterdziestce i cztery po pięćdziesiątce. Było wśród nich 19 panien, 6 wdów i 5 rozwódek.

Ten sam zabieg powtórzony w stosunku do takiej samej ilości mężczyzn dał sumę 1.446 lat co wynosi ponad 48 na osobę. Siedmiu mężczyzn było po dwudziestce i siedmiu po trzydziestce, dziewięciu po czterdziestce, czterech po pięćdziesiątce i trzech ponad sześćdziesiąt lat. W stanie kawalerskim zachowało się 14; czterech było wdowcami i 12 rozwódkami.

Powody, dla których kandydaci do małżeństwa szukali pomocy „Swatki” są różnorodne. Można by jednak starać się uszereżować najważniejsze spośród nich.

1. Brak własnego środowiska rodzinnego, przyjaźni, znajomych — jednym słowem samotność.
2. Kompromitacja w oczach własnego środowiska (opinia alkoholika, „puszczałskiej”, uwodźcila, człowieka o ciężkim charakterze itd. itd. — notabene opinia często niezaskuzona).
3. Zawód, spowodowany niedużym małżeństwem zawartym „normalną drogą”.
4. Zapobiegliwość rodziców w celu znalezienia odpowiedniej „partii” dla swojego dziecka.

Oczywiście, nie wyczerpaliliśmy tym zestawieniem wszystkich powodów. Zdarzają się i klienci szukający wspólnika czy wspólniczki do interesu, czy tacy którzy wyznają zasadę „przez małżeństwo do mieszkania”.

(Wypada również na tym miejscu odpowiedzieć oponentom. No bo oni ironicznie przemrużają oko i sądzą, że biuro matrymonialne jest przystanią ludzi, którzy z powodu swojej powierzchności czy zbyt zaawansowanego wieku nie mieliby innych szans do zawarcia małżeństwa. Uważam, że są to kryteria tak subiektywne, iż nie należy ich brać pod uwagę).

Dopiero na dalszym miejscu odnajdziemy życzenia co do tak zwanej sytuacji materialnej. A więc mieszkania, majątku itp. Często kandydaci stawiają te wymagania jako tylko ewentualne, chociaż zdarza się później, że na przykład kwestia mieszkania odegra przy finalizowaniu małżeństwa decydującą rolę.

Ocenilibyśmy owe życzenia czy wymagania jako przykład swego rodzaju altruizmu, gdzie na plan pierwszy wysuwa się przede wszystkim chęć znalezienia wreszcie kogoś bliskiego, kto stałby się towarzyszem życia.

OPINIA SOCJOLOGA

Jestem zdania, że w naszym społeczeństwie biuro matrymonialne stanowi zjawisko zgoda marginesowe. Twierdzą to w oparciu nie tylko o rezultaty działalności biur, ale przede wszystkim w oparciu o znajomość warunków naszego społeczeństwa.

Po pierwsze: społeczeństwo nasze ma charakter tradycyjny, co znaczy, że dużą rolę odgrywa przynależność do określonej grupy społecznej i jej mniejszej komórki — rodziny. Ludzie dobierają się sami według tych kryteriów.

Po drugie: religia katolicka nie głosi obowiązku małżeństwa, a przeciwnie — wysoko sobie ceni kult dziewictwa. Przy czym warto dodać, że owe wyśniewane a jednak cieszące się szacunkiem stare panny znajdują zawsze jakieś miejsce w rozbudowanej i licznej zwykłej rodzinie.

Po trzecie: nie jesteśmy społeczeństwem skomercjalizowanym, gdzie pieniądź odgrywa decydującą rolę rozbijania — „atomizacji” społeczeństwa, wytrącając ludzi z ich grup społecznych i czyniąc ich osamotnionymi, powodując utratę kontaktów z dotychczasowym swoim środowiskiem, pozabawiając otoczenia o podobnych zainteresowaniach i zwyczajach.

Wnosząc zatem należałoby stwierdzić, że w naszym społeczeństwie biura matrymonialne nie mają specjalnych szans rozwoju,

CZY POTRZEBNE?

Przed trzema laty kilka pań zwolnionych z administracji założyło zespół samopomocowo-usługowy przy Lidze Kobiet. Zespołów takich powstawało wówczas wiele, a zajmowały się one głównie chałupniczą produkcją dzieciennych majteczek czy zabawek. W krótkim okresie „prosperity” wszystkie one z reguły rozwinięły się w samodzielną „prywatną inicjatywę” i w przeważającej większości po pewnym czasie zbankrutowały. Zespół, o którym mowa obecnie zajął się pośrednictwem matrymonialnym, usamodzielił się pod nazwą „Swatki” i... doskonale prosperuje do dziś.

Pośrednictwo matrymonialne restaurowało się w ostatnich latach na fali jawności życia społecznego, a fakt że dotychczas wytrzymało próbie czasu, świadczy zdecydowanie na jego korzyść.

Biura matrymonialne mają pewne (raczej niewielkie — czego staraliśmy się dowiedzieć) pole działania i szan-

se istnienia obok innych, „normalnych dróg” kojarzenia małżeństw.

Nazwa „biuro” odstrasza wielu. Tymczasem łódzka „Swatka” mieści się w prywatnym mieszkaniu, niczym nie przypominającym przybytku biurowości. Za biurkiem króluje uroczą pani Halina — szefowa interesu. Niektórzy powiadają, że jej osobiste walory nie są bez wpływu na popularność „Swatki”.

Właśnie kwestia popularności. W czasie trzyletniej działalności biura zarejestrowało się tam ponad 1200 kobiet i około 800 mężczyzn. Są to w większości mieszkańcy Łodzi i jej najbliższych okolic. Fakt, że „Swatka” jest łódzkim biurem dla łódzkiej klienteli rzutuje w zasadniczy sposób na jej działalność. Oplaty są tu niższe, niż na przykład, w biurach warszawskich, a klient raz zarejestrowany za „zryczałtowaną” sumę może odbyć dowolną ilość

spotkań w celu wybrania sobie przyszłego małżonka.

Nie zdarzają się tu prawie oszuści matrymonialni. (Był jeden, ale widocznie spostrzegł że nie ma czego szukać i prędko się wyniósł — lupem wilka padła tylko jedna owieczka).

Wśród ponad 100 zawartych małżeństw rozwiodły się tylko trzy, co w jakiś sposób świadczy o tym, że kandydaci zgłaszali się do biura „w poważnych zamiarach” (jedno z rozwiedzionych małżeństw zarejestrowało się ponownie w „Swatce”).

Altruizm wymagał wobec przyszłego męża czy żony (o czym mowa była wyżej) świadczyć również dobrze o łódzkiej klienteli — ludziach niezamożnych, prostych i ciężko zapracowanych.

„Swatka” skojarzyła 10 proc. zarejestrowanych u siebie kandydatów. Pozostałym została nadzieja, że jeszcze w życiu coś się uda, choć czasem ta nadzieja jest tylko oszukiwaniem

Nadzieja pominiętych przez życie. Małżeństwo wbrew przyjętym zwyczajom. Próba zadania kłamstwa „normalnej” miłości dwójga ludzi. Filantropia zorganizowana w przedsiębiorstwo. Czegokolwiek byśmy nie sądzili o biurze matrymonialnym trzeba po prostu powiedzieć: ŻYCIE.

Co rzekłszy, w obawie przed wkróceniem w regiony wyższej filozofii, gdzie nie czujemy się pewnie, postanowiliśmy rzecz zakończyć.

Wszyscy troje są klientami biura: tatusz, mamusia (rozwidzielni), córeczka. Często spotykają się w „Swatce”. Ostatnio córeczka zaangażowała dwie ciotki, które również przyszły zarejestrować potrzeby swego serca.

Najlepiej „idą” wdowcy z dwojgiem dzieci, szczególnie jeśli to dwie dziewczynki. Kandydatki do małżeństwa są już bowiem często w wieku pomacierzyskim.

Mamusia wybrała w „Swatce” kandydatkę dla córki, potem „przez przypadek” przedstawiła go jej. Córeczka do dzisiaj nie wie, że ma męża rodem z biura matrymonialnego.

Często gdy para jest już w okresie narzeczeńskim, „jedna połowa” przychodzi w dalszym ciągu, wybiera w tajemnicy przed drugą.

Z archiwum łódzkiego Gestapo

Ciepły, sierpniowy wieczór 1944 r. Władysław R. leżał już w łóżku, jego przyjaciółka Helena krzotała się jeszcze po pokoju. U drzwi rozległ się dzwonek — długi, natarczywy.

— Idź, zobacz, kogo diabli niosą — mruknął R.

— Jacyś dwaj panowie z „Krypo” (Kryminalna Policja Niemiecka) chcą z tobą pomówić.

— Cóż oni ode mnie chcą? Podlegam Gestapo, nie im.

W drzwiach stanęło dwóch nieznajomych ludzi.

— Nie bądź taki ważny. Musisz pójść z nami, bo chcemy wyjaśnić pewną sprawę — głos jednego z przybyszów był stanowczy, głos człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów, a ponieważ R. w ciągu trzech lat współpracy z Gestapo nauczył się słuchać bez słowa poczuł się ubierać.

Szli ciemnymi ulicami Włocławka, a kiedy znaleźli się na polu, jeden z agentów „Krypo” wyjął pistolet: „Wyrokem organizacji podziemnej, jako zdradca narodu zostajesz skazany na karę śmierci”. Potem padły strzały. Ciało zabitego konfidenta znalazła nazajutrz policja i natychmiast zameldowała o tym Gestapo. Komisarz kryminalny Kautter,

Gdy w parę godzin potem przeglądał materiały, które dostały się w jego ręce w wyniku likwidacji punktu organizacji AK, minę miał niezbyt wesoły.

Właściwie cała akcja spaliła na panewce. Poza właścicielami mieszkania i mężczyzną nocującym tam, nie znaleziono nic. Nagle wpadł mu w oko karteluszek papieru z wypisanymi nań 23 nazwiskami. Jako numer jeden figurował na tej liście Władysław R., zaś numerem 2 opatrzony został Ignacy Z., — dwaj konfidenti znaleźni z kulą w sercu. Kautter wydał natychmiast polecenie, aby sprawdzono w kartotece, czy pozostali są także konfidentami Gestapo. Zgadzało się — lista obejmowała 23 konfidentów Gestapo, przeznaczonych do likwidacji.

Nazajutrz w gabinecie Kauttera odbyło się dziwne zebranie. Wzięło w nim udział 21 konfidentów, tych właśnie, którzy „figurowali” na znalezionej liście. Kautter rozdał wszystkim broń i uprzedził ich o niebezpieczeństwie grożącym ze strony „bandytów” podziemia.

Po chwili żałował swego kroku: — Trzeba było tylko zorganizować obserwację i nie mówić ani słowa o istnieniu listy.



(Dokończenie ze str. 1)

towały się plemiona koczownicze na północnych krańcach Iraku.

Wreszcie przyszedł październik 1959 r. Premier Iraku Kassem jak zwykle przejeżdżał otwartym samochodem ulicami Bagdadu. Witał się ze znajomymi i jak zwykle pozdrawiał tłumy, których zawsze pełno na ulicach bliskowschodnich miast. Ten nastrój porannego spokoju przerwał nagle jazgot broni maszynowej. Strzały siekły samochód premiera. Zabity został szofer i jeden z adiutantów, który zasłonił premiera własną pierś. Premier Kassem padł na siedzenie ranny w ramię. W tłum wjechała przypadkowa taksówka. Szofer taksówki błyskawicznie zajął miejsce zabitego kierowcy i czarny „Mercedes” potracając ludzi wyrwał się z tłumu i pomknął do szpitala. Premier Kassem ocalał. Na ulicach pojawiły się wzmocnione patrole policyjne, wojskowe i czołgi. W Bagdadzie ogłoszono stan wojenny.

W tydzień później próba nowego zamachu na premiera, tym razem udaremniła.

Sytuacja polityczna w Iraku żarzy się nieustannym ogniem namiętności. W Iraku z grubsza biorąc są trzy wielkie siły polityczne. Naturalną bazą premiera Kassem jest centrum, które stanowi partia narodowo-demokratyczna, niepełnie zresztą jednolita. Kassem jest również narodowym demokratą. Jego program — suwerenność Iraku, neutralność na arenie międzynarodowej i swobody demokratyczne wewnątrz kraju.

Na lewicy znajduje się silna, najsilniejsza na Bliskim Wschodzie partia komunistyczna. Partia przebiega i zdyscyplinowana, która od razu po wyjściu 20-letniego podziemia okazała się największą i najsilniejszą partią w Iraku. Partia ko-

JACEK LEBEN

CHODZENIE PO ROZZARZONYCH WĘGLACH

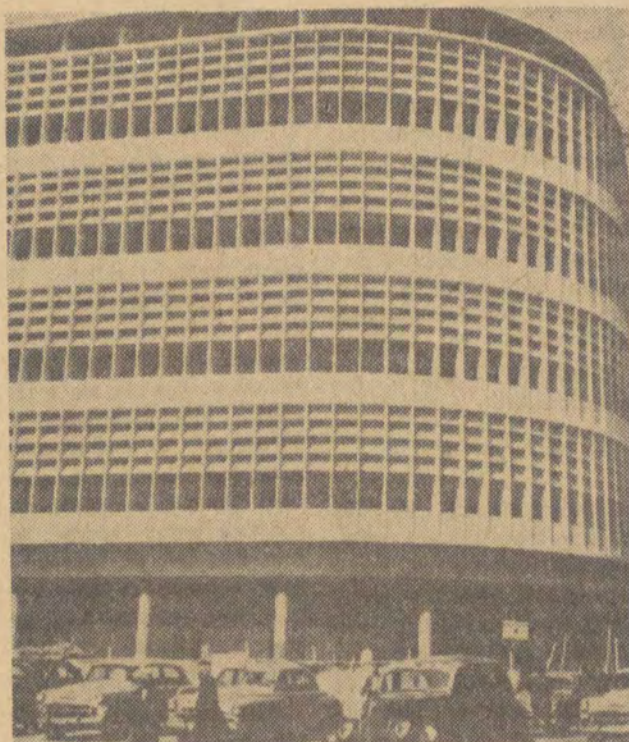
munistyczna ma kolosalne wpływy w masach miejskiego proletariatu i wśród studentów. „Do niej należą ulice Bagdadu” — pisał latem pewien brytyjski dziennikarz. Sojusznikiem partii komunistycznej jest demokratyczna partia Kurdów. Kurdowie to oddzielny rozdział. Stanowią oni zwartą półtoramilionową mniejszość narodową w północnych ropodajnych prowincjach Iraku. Żyją oni w granicach pięciu państw. W Iraku, Iranie, Syrii, Związku Radzieckim i Turcji. Ten wojowniczy naród nie przestał marzyć o wielkim Kurdystanie, o samodzielnym państwie kurdyjskim. Powstania zbrojne Kurdów znaczący krwią całe ostatnie stulecie. Związek Radziecki popiera aspiracje narodowe Kurdów. Przywódcy kurdyjskich powstań znajdowali zawsze gościnnie azyl w Związku Radzieckim. Radiostacja w Baku od 22 roku nadaje normalne audycje przeznaczone dla Kurdów. Jest to jedna z przyczyn dlaczego Kurdowie darzą przyjaźnią Związek Radziecki i sympatją partię komunistyczną. Kurdowie są właśnie tą siłą, która aktywnie sprzeciwia się przyłączeniu Iraku do Republiki Arabskiej. Nie chcą się bowiem znaleźć w arabskim morzu.

Wreszcie trzecią siłą polityczną jest w Iraku nacjonalistyczna prawica. Dąży ona do natychmiastowego przyłączenia Iraku do Zjednoczonej Republiki Arabskiej. Obawia się wzrostu wpływów partii komunistycznej. Z nienawiścią spogląda ona na swobodną działalność tej partii w warunkach kassemowskiej demokracji.

To właśnie prawica atakuje w Iraku. To właśnie ona zainicjowała rewoltę w Mossulu i Kirkuku. To z jej ręki zginął młody premier Kassem. Siły prawicy podsycały się przez Nasser, dla którego Kassem jest niebezpiecznym konkurentem w świecie arabskim. Radio Kair w dzień i w nocy nawołuje do obalenia „zdrójcy” Kassem.

politycznych Iraku Kassem musi tańczyć na linie między prawicą a lewicą.

Obecnie partia komunistyczna Iraku i cały front ludowy udzielają całkowitego poparcia premierowi Kassemowi. Kassem — wódz rewolucji posiada kolosalny autorytet w masach. Gdyby jego nie stało, gdyby kule zamachowca trafiły 20 cm niżej — Irak stanąłby zapewne w ogniu wojny domowej. W złożonej sytuacji politycznej Bliskiego Wschodu iracki płomień mógłby rozniecić wielki ogień pożogi wojennej w tym rejonie. Dlatego też sztaby polityczne wielkich stołec przyjaźni i wrogów Nasser, a jednakowo odetchnęły z ulgą na wieść, że zamach się nie udał.



Gmach banku Rafidain w Bagdadzie.



PREMIER IRAKU — KASSEM

Śmierć krąży wśród konfidentów

nie przejął się zbyt śmiertelnością swego konfidenta i ograniczył się do wydania polecenia: wykreślić z kartoteki.

Minęło kilka dni i oto na biurku Kauttera pojawia się drugi meldunek: na polu koło Kolei Obwodowej znaleziono zwłoki konfidenta Ignacego Z. Tak, jak w pierwszym wypadku, śmierć nastąpiła od kuli pistoletu. Ekspert stwierdził, że obydwie kule pochodzą z tego samego pistoletu. Dalo to Kautterowi dużo do myślenia. Najbardziej rzucającą się w oczy była ewentualność zorganizowanej akcji odwetowej ze strony organizacji podziemnej.

Szef Wydziału IV 1a zajmującego się „rozpracowywaniem” opozycji prawicowej polecił zawezwać swego agenta o pseudonimie wewnętrzny „Bauer”, oraz swego zastępcę.

— Słuchaj, Bauer, czy ta komórka AK, której jesteś członkiem, dojrzała do likwidacji? Znasz wszystkie punkty?

— Nie, panie Kautter, adres tylko jednej „meliny”. Postaram się w ciągu dwóch tygodni...

— Nic się nie postarasz. Hecke — zwrócił się do swego zastępcy — weźmiecie ludzi i zlikwidujcie punkt. Pozostawcie na 48 godzin kogoś w zasadce. Działajcie cicho, żeby nikt nie zwrócił uwagi.

— To byłoby wszystko — powiedział na zakończenie. — Zachowajcie zimną krew.

Już w ciągu tygodnia sprawdzili się obawy Kauttera. Czterech konfidentów zniknęło z „Litzmanstadt” jak kamfora. Meldunki pozostałych przestały napływać regularnie, informacje były nieznaczające.

Akcja podziemia, niezależnie od dwóch wyroków, przynosiła już owoce.

Minął wrzesień, i Kautter zaczął przypuszczać, że burza uciągnie, gdy niespodziewanie policja nadesłała legitymację i dokumenty Władysława K., konfidenta opatrzonego na liście numerem 7. Zabito go w progu mieszkania na Głównej. Pistolet musiał być zaopatrzony w tłumik, gdyż sąsiad (Niemiec) nie słyszał strzału. Kautterowi zmyto głowę za opieszałość, a tymczasem na ślad grupy likwidacyjnej nie udało się wpaść.

Zona Franciszka M. żyła w ciągłym strachu, od czasu gdy mąż powiedział jej o niebezpieczeństwie, w jakim się znalazł i pokazał jej pistolet otrzymany w Gestapo. — AK chce nas wykończyć, ale ze mną nie tak łatwo. Z tą maszyną poradzę sobie z nimi.

26 października pani M. właśnie myślała swego syna, gdy do pokoju ktoś wszedł. Odwróciła się przerażona. — Przepraszam — powiedział grzecznie jeden z przy-

byszów — czy zastaliśmy pana M.?

— Męża nie ma, wyszedł — odparła, drżąc przy tym z obawy, aby Franciszek, będący u sąsiadów nie wszedł przypadkiem do mieszkania.

Mężczyźni porozumieli się wzrokiem. — Dziękuję, wpadniemy kiedy indziej.

Skoro tylko uciekły ich kroki M. wypadła na korytarz i gorączkowo zapukała do sąsiadów.

— Franciszku, przyszedł, przyszedł, uciekaj!

— Kto przyszedł? — spytał M.

— Oni, ci z AK!

— Skąd wiesz, gadaj prędzej — mówiąc to szedł z żoną do mieszkania. Nagle zauważył na schodach dwóch nieznanych mężczyzn. Konfident błyskawicznie wskoczył do swego mieszkania i zamknął drzwi. Jego żona zemdlała. Członkowie grupy likwidacyjnej oddali kilka

strzałów do zamka, a następnie usiłowali wejść, ale M. odpowiedział strzałami.

Wszystko trwało dosłownie sekundy. Potem na korytarzu zaległa cisza. Zaalarmowana przez kogoś z wewnątrz policja przybyła na miejsce i dopiero wtedy przerażony Franciszek M. zdecydował się wyjść z kąta. Wkrótce też zjawili się Gestapo. Na podłodze korytarza widniały ślady krwi. Idąc po nich gestapowcy znaleźli w ogrodzie ciało człowieka — był to jeden z członków grupy likwidacyjnej — nie żył już. Skrupulatnie przeszukiwanie ubrania zabitego nie dało efektu — żadnych dowodów, żadnych legitymacji. Kautter zdecydował się dać zdjęcie do „Litzmanstädter Zeitung” z apelem, aby wszyscy znający „bandytę” zgłosili się do prokuratorium dla zidentyfikowania zwłok. Na próżno.

* * *

Przypadek, najgłupszy reżyser życia sprawił jednak, że w ręce Gestapo wpadł także drugi członek grupy likwidacyjnej. Stało się tak: przyjaciółka Władysława R., idąc ulicą rozpoznała w jednym z przechodniarzy rzekomego funkcjonariusza „Krypo”, który przyszedł do jej mieszkania. Zatrzymała pierwszego napotkanego Schupo i zażądała aresztowania „bandyty, który zabił jej męża”. Na posterunku zatrzymany wylegitymował się jednak jako posiadacz volkslisty II kategorii i zrobił awanturę, wyraził swe oburzenie z powodu skandalicznego postępowania policjantów. Speszyciło ich trochę, ale sytuacja uległa zmianie, gdy znaleziono przy nim broń bez zezwolenia. Wtedy na scenę wkroczyło Gestapo.

Okrucieństwo śledztwa sprawiło, że człowiek ten

przyznał się do udziału w grupie likwidacyjnej. Pytany, kogo przedstawia fotografia kobiety, znaleziona w portfelu oświadczył, że jest to jego narzeczona, a jednocześnie szef grup likwidacyjnych. Gestapo rozesłało setki odbitek fotografii i zarządziło poszukiwanie na wielką skalę.

Nie wiemy czy uwiecznione zostało powodzeniem, gdyż materiały archiwalne Gestapo nie na ten temat nie mówią, a sprawa pozostanie chyba nie wyjaśniona.

Jeden z aktów wielkiej walki podziemia został zakończony. Chociaż nie obeszło się bez ofiar, to jednak obok likwidacji kilku zdrajców narodu działalność grupy przyczyniła się do rozprzeżenia i dezorganizacji w środowisku konfidentów i osłabiła na pewien czas ich antypolską działalność.

J. W.

Dalszy ciąg
ze str. 1

ników. Już dzisiaj bydło
jada karmę przeznaczoną
na zimą.

Przeprosić kukurydzą

Trzeba więc zrobić głębszy ułkon w stronę wyszydzonej często kukurydzy. Prosić i śać. PGR, która siał kukurydzą nie mają kłopotów z paszą. Udała się znakomicie. W PGR Łęki z uprawionych przed kilku laty łąk zbierają dwa razy więcej siana niż chłopie gospodarzący indywidualnie. Zmierzorowane niedawno łąki w Młogoszynie nie uprawiane, zakwaszone, nie wydają najlepszego świadectwa o gospodarności mieszkających tam rolników.

Łęki plonę

Przejeżdżałem przez Młogoszyn, byłem w Kterach i Orłowiu. Widziałem pałace się łąki. W zasadzie, na łąkach widziałem tylko strużki tryskające spod ziemi dymu, który sękał się po powierzchni. Z rozpalonych przez dzieciaki ognisk, ogień wdarł się do pokładów torfowych. Początkowo bez specjalnego wysiłku można było pożar ugasić. Przy ludzkiej bierności pożar rozprzestrzenił się i objął obszar kilkunastu hektarów. Nieliczne oddziały ochotniczej straży i grupki ludzi nie mogły opanować żywiołu. Istniało niebezpieczeństwo, że podjedzie pod znajdujący się w pobliżu las. Gdyby nie interwencja milicji, diabli wzięliby las i kto wie co jeszcze. Susza, susza, lecz trochę zapobiegliwości mogłoby złagodzić klęskę. Nie można wciąż opierać się na tradycyjnej gospodarce, bez przewidywania niespodziewanych jak tegoroczne niesześci. Brak takiego przewidywania uderzył po kieszeni przede wszystkim rolników. Każdy wie, że odstawy mleka są dla rolników szczególnie korzystne. W Kutnie dowiedziałem się, że dzienne dostawy mleka wynoszą około 23.000 litrów mleka. O tej samej porze w roku ubiegłym dostarczano o 10 tysięcy litrów mleka więcej. Jest to tym bardziej niepokojące, że stan pogłowia na 100 ha w porównaniu z rokiem przeszłym zwiększył się o 1 sztukę, 300 tysięcy litrów mleka w jednym tylko powiecie przez miesiąc wypila susza. Fachowcy mogą obliczyć o ile zmniejszy się na rynku ilość masła i śmietany.

Gapiostwo czy...

Co najmniej połowa studni wyschła. Na miejscach wielkich stawów i sadzawek, popękane skorupy zastępyłygo mułu. Szczęśliwie wsie posiadające stawy rybne! Spragnione bydło instynktownie pędzi kilka kilometrów do wody. Większość stawów rybnych dzierżawia prywatni użytkownicy. W Siemianowie jeden prywatniarz nie porozumiewając się z nikim spuścił wodę ze stawu. Jedyny, większy zbiornik w okolicy jest próżny. W pobliżu stawu stoi duży magazyn Centrali Nasienniej. Wystarczy iskra i zawartość magazynu, wartości kilku milionów złotych może stać się pastwą ognia.

Bydło bez wodopoju. W razie pożaru, klęska.

Alarm w Komitecie Powiatowym. Towarzysze, kto rządzi?

— Kto?

— Wy.

Telefonogramy rozbiegły się po gromadzkich radach. Nie pozwolcie na opróżnianie stawów. Siemianów stał się ostrzeżeniem. Bezradni wobec posuchy ludzie składali datki na nabożeństwa błagalne. Po nabożeństwie w

BOGUSŁAW HOLUB

PO-SU-CHA

czyli biedy bogatego powiatu

jednej z parafii, niebo zachmurzyło się. Nie spadła jednak ani kropla deszczu.

Jestem w Łanietach

Stary dziadek oderwał się od grupki ludzi stojących pod szyldem „Sklep masarski” i przydreptał do mnie.

Popatrzył i zagadnął:

— Pan z powiatu?

Przytaknąłem. Przytaknął mi niebezpiecznie, że podejdzę pod znajdujący się w pobliżu las. Gdyby nie interwencja milicji, diabli wzięliby las i kto wie co jeszcze.

— Różnie, różnie panie, jak groch przy drodze.

— Kto was skubie? — wtrącił mi poważnie nie chcąc wypaść z roli.

— Członkowie towarzyszu, członkowie.

— Prezydium?

— Jakże tam prezydium... pijacy. Ja się, panie, znam na towarzyszach. Należałem sam jak byłem młodszy. Teraz brak i siły i chęci. My za dużo towarzyszu, mamy członków partii, a za mało komunistów. Komunista ma charakter, nie skrzywdzi człowieka, a taki członek może dokuczyć. Byłoby jego nie ruszali.

Patrzyłem z zaskobieniem w twarz dziadka. Wzrok jego błakał się po drodze. Za uszy by cię dziadku wytarł, musiałby za takie herezje — myślałem. Dziadek widząc, że rozmowa nie kłóci się, podał mi rękę i odszedł na swoje miejsce. Szedł niezgrabnie podpierając się bliznami.

Styszałem, że przed rokiem był w Kutnowskim dziennikarzem w poszukiwaniu rewizjonistów. Podobno takiego nie znalazł. Napisał za to „sa w powiecie organizacje farni do których uczęszczali” — powiedział. Za to sformułowanie przy najbliższej okazji mają mu „obić rebe”. Nie zazdrościsz.

Za co piję, czyli tajemnice braku żywności

Siedząca w sekretariacie Gromadzkiej Rady kobieta nie chciała początkowo nie mówić. Gdy nalegałem, oświadczyła mi, że w Łanietach od trzech lat nikt nie umarł. Był to żart. Okazało się bowiem, że od trzech lat w GRN nie jest prowadzona księga zgonów. Teraz ona odtwarza księgę. Nie rezygnuję, czy kogoś nie ominie. Ciekawe, jak przebiega tu niektóre formalności spadkowe. Powoli nakłaniałem ją do rozmowy.

— Co ja panu będę mówiła, jestem tu nowa, patrz na mnie jak na wroga. Jestem niewygodna. Nie piję. Do tej pory pil prze-

wodniczący, sekretarz rady i inni. Podobno przewodniczącego zawiesili w czynnościach, ale przychodzi.

— Za co piję?

— Za ulgi, za opłaty, za co się da. Biednemu to by wiatróbę wyrwali, a bogatych głaszczą po brzuchach.

— Ma pani dowody?

— Pokażę panu kartotekę Janiaka. Umorzyli wszystkich. Siedzący w sąsiednim pokoju urzędnik nie chciał pokazać kartoteki.

— Nie dam i koniec — powiedział sekretarz.

— Nie sądzę, że chcecie mi utrudniać pracę — wtrąciłem.

Niechętnie podał mi kartotekę. Przeglądam — Feliks Janiak 7,8 ha, 355 kg żywności umorzono w 100 proc. — Może miał jakiś wypadek losowy może padł? — pytam.

— Pa...a...nie — kobieta machnęła ręką.

Interesujące. W Kutnowskim gospodarz na 8 hektarach nie należy do biedoty.

— To jest decyzja powiatowej rady — powiedział urzędnik.

Poprosiłem o uchwały Prezydium PRN. Rzeczywiście na wniosek Prezydium GRN w Łanietach uchwałą nr 105/15/59 zwolniono całkowicie Janiaka od obowiązku odstaw żywności.

Notuję każdą uchwałę, spisuję ulgi w odstawach żywności, zboża i ziemniaków. W tym roku w gromadzie Łanietów udzielono ulg na 9.244 kg mięsa. Przeliczcie na ceny wolnorynkowe, ile to wynosi.

W przeglądanych uchwałach jedna należy zapewne do unikatów. Jest to uchwała Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kutnie nr 15/8/59. Uchwała ta podpisana przez wiceprzewodniczącego Prez. PRN Stefana Józwiaka wystawiona jest in blanco. W rubryki co umorzono można wpisać, co się chce i ile się chce.

O swoim spostrzeżeniu natychmiast po powrocie do Kutna meldowałem sekretarzowi Komitetu Powiatowego tow. Gajewskiemu. Ten interweniował w PRN. Obiecali sprawdzić. Wezwałem go, gdyby w uchwale 15/8/59 wpisano w międzyczasie jakieś odpowiadające prawdziwej cyfry a mnie postawiono przed sądem za zniesławienie. Do wodu rzeczowego nie mogłem przecież zabrać. Nie miałem na to prawa. Lękałem na uczciwość ludzi, którym tę uchwałę pokazywałem.

Jednego się obawiam, żeby informująca mnie kobieta nie została zwolniona z pracy. Nie mogę ukryć, że to ona naprowadziła mnie na ślad tej uchwały. Wiem z praktyki, że takie szyskany zdarzają się w Powiatowej

Radzie w Kutnie. Pielęgniarka z Zakładu dla opóźnionych w rozwoju chłopców, w Franciszkowie, za złożenie mi dwa lata temu przed mikrofonem relacji o stosunkach panujących w Zakładzie przez rok nie mogła znaleźć pracy.

Reportaż „Panie prokuratorze, proszę o posłuchanie”, był prawdziwy. „Wychowawcy”, którzy znęcali się nad niedorozwiniętymi chłopcami w Zakładzie zostali skazani wyrokiem Sądu Wojewódzkiego. Pielęgniarka skazana została przez klan na roczną kwarantannę. Mam szczęście do dobrych informatorów, niestety informatorzy nie mają szczęścia do mnie.

Człowiek i ludzkie kłopoty

W sekretariacie Komitetu Powiatowego — interesanci. Jest ich wielu. Ja jestem czwartym lub piątym. Sekretarz Gajewski widząc mnie prosi do gabinetu. „Tajemniczo” nie ma. Przy okazji dowiedzieć się coś nowego? Dziękuję. Nie wszędzie przyjmują tak życzliwie. Gajewski to interesujący człowiek. Podziwiam jego energię i umiejętność nawiązywania kontaktu z ludźmi. Znam go już cztery lata, tzn. od czasu objęcia przez niego funkcji sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR w Kutnie. Spotykaliśmy się często w spółdzielniach produkcyjnych i na gromadzkich naradach. Ludzie szanują go.

Wchodzi dwóch chłopów. Skarżą się. Przed kilku miesiącami mierniczo przyjechali z Warszawy przeprowadzić kwalifikację i pomiary ich gruntów. Połączyli przy okazji obydwu gospodarstwa, na jedno nazwisko. Do jednego przyszło więc o wymiarach obowiązkowych dostaw i podatku gruntowego z obydwu gos-

podarstw. Chłop udowadnia, że nie posiada tyle ziemi, z której ma wypełnić obowiązki. Drugi boi się, że taka pomyłka może kosztować go utratę ziemi. Obydwaj są zdenerwowani.

Podobne pomyłki nie należą do rzadkości. Sekretarz uspokaja chłopów. Telefon do Wydziału Rolnictwa. Sprawdzić.

Następny interesant. Też rolnik. Uciekł z domu przed sekwestratorem. Pokazuje kwity zapłaconego na bieżąco podatku gruntowego. Nie rozumie dlaczego go napastują.

— W Prezydium byliście?

— Nie byłem, przyszedłem najpierw do was.

— Kwity macie w porządku?

— Widzicie przecież, że mam.

— Powiedziecie sekwestrowi niech...

Chłop przyrzeka, że powie. Okazuje się, że nie jest to pierwszy człowiek z podobną sprawą. Wydział Finansowy Prezydium PRN nie prowadzi na bieżąco kartotek podatkowych. Na wszelki wypadek od czasu do czasu wysyła sekwestratora w teren. Jak wiadomo sekwestratorzy nie lubią dyktować z podatkami. Za to chętnie działają. Taki ich chleb.

Kobieta około czterdziestu lat, może młodsza, ale bardzo zniszczona. Placze. Ma pracę na kolei. Przepija pieniądze. W domu troje dzieci, bieda.

— Pomóżcie, panie sekretarzu...

— Dobrze. Wezwę go jutro do siebie. Jak nie będzie oddawał pieniędzy, przyjdzie jeszcze raz. Pieniądze będą wypłacać wam.

Pijaństwo, jedna z wielu bied tutejszych rodzin. Nie tylko zresztą kutnowskich. W ubiegłym roku mieszkańcy powiatu kutnowskiego przepili 81 milionów złotych. W ostatnim tygodniu zrobio-

no ciekawe obliczenie w jednym ze sklepów PSS. Miesięczny utarg ze wszystkich artykułów w tym sklepie wynosił 113 tysięcy złotych. Utarg z wódki 130 tysięcy złotych.

Następni interesanci. Młody inżynier z żoną. Prosi o mieszkanie. Poprzednio mieszkał w Zychlinie. Ostrzegano go: „Nie rezygnuj z mieszkania. Dojeżdżaj na razie”. Machnął ręką. Oddał mieszkanie w Zychlinie, sprzątnął się do Kutna. Mieszka na strychu. Sam napytał sobie biedy i wladom kłopotu.

Młoda dziewczyna. Przysłała przed kilkoma dniami list do Komitetu Powiatowego. Intymne sprawy. Przeglądałem go. „Majster zmuszał mnie do... ale ja nie chciałam, bo był stary i nie miałam przyjemności. Dlatego mnie zwolnił” — pisała. Wezwano ją. Nie przyznaje się do listu, do nikogo nie ma pretensji. Znalazła nową pracę. To dobrze.

Sprawy i sprawy, ważne i błahe. Tu nie można nie przyjąć interesanta. Musi wyjść zadowolony, lub przekonany, że nie ma racji. Inaczej będzie kłócił się na sekretarza, lecz na partię. Trzeba mieć dużo opanowania i taktu, żeby do tego nie dopuścić. Jestem ostatnim interesantem. Opowiadam o Łanietach. Poglądy nasze są zbieżne. Trzeba przeprowadzić zmiany w gromadzie i gdzie indziej.

Godzina 17. Sekretarz przeprosza mnie. Za parę minut ma wykłady. Robi maturę. Trzeba przygotowywać się do egzaminów końcowych.

Pomyślności, sekretarzu.

Opuuszczam miasto, w którym jak twierdzi jego mieszkaniec, można dopiero poznać życie.

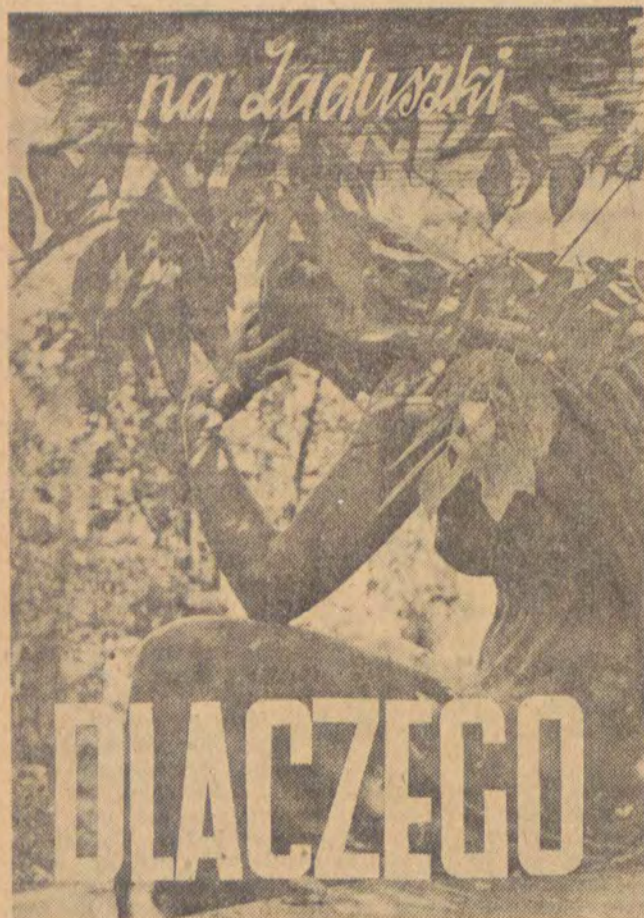
PS. Dwie pretensje z Zychlina — jedna do speców od margaryny, druga do prasy. Mieszkańcy Zychlina znają margarynę z ogłoszeń reklamowych. Pragną poznać jej smak. Proszą o transport tego pożytecznego tłuszczu.

„Dziennik Łódzki” w jednym z numerów „Panorama” zamieścił rysunek przedstawiający urzędnika z wielkim nosem. Podpis imputował, że ojciec tego małego miasteczka patrzeć nie dalej własnego nosa, nie opracowali dotąd perspektywicznego planu rozwoju Zychlina. Poinformowano mnie, że plany takie opracowuje nie tereznowa, lecz Wojewódzka Rada Narodowa. Na pytanie, dokąd będzie się krytykować w prasie działający na najniższym szczeblu, wstrzymałem się od odpowiedzi. Uważam, że należy to do śmiałości autorów satyrycznych rysunków.

Zdjęcia:
Edward Przybyłowicz



Tow. Gajewski, sekretarz KP PZPR w Kutnie w rozmowie z interesantami.



?



dziewczyny: Wanda Wroczyńska lat 17, Jadwiga Felisiak lat 16 i pół i Maria Pawlak lat 18.

Było to w nocy, piętnaście minut po północy. Na tej godzinie zatrzymały się wskazówki zegarka Wroczyńskiej.

— Tym ołówkiem Pawlakówna napisała ostatni list — sierżant MO obraca wolno w palcach zwykły, czarny ołówek — ja redaktorowi narysuję drogę jaką przebyły denatki od Klubu Fabrycznego, gdzie były na zabawie, do miejsc samobójstwa.

Czarny, w pośpiechu zatemperowany ołówek w grubych i mocnych palcach sierżanta traci charakter swej niezwykłości. Sierżant w tym momencie może nawet zapomnieli już, że tak niedawno szczupłe i zgrabne palce dziewczęce nerwowo i w pośpiechu kreśliły ostatni list swego życia.

— ...więc od tego miejsca do basenu na przedmieściu będzie ponad 2 km. Nawet jeżeli były trochę pijane, to mogły przez drogę wytrzeźwieć — kończy relację sierżant.

Badania lekarskie wykazały niewielką ilość alkoholu we krwi Pawlakówny i Wroczyńskiej.

Sekcje zwłok nie stwierdziły natomiast u żadnej z denatek objawów ciąży, ani żadnych obrażeń ciała. Z jednym wyjątkiem — najmłodsza — Jadwiga Felisiak miała sine plamy na skórze w okolicy ramion i szyi.

— ...broniła się pewnie w chwili topienia i usiłowała wyrwać z ramion koleżanek. Samobójcy nieraz w ostatniej chwili chcą żyć — konkluduje spokojnie sierżant R.

Trudno zresztą w jej wypadku znaleźć jakiegokolwiek powody samobójstwa. Nie przeżyła jeszcze żadnego konfliktu sercowego, nie miała ambicji szybkiego wyjścia za mąż, spokojna, szczęśliwa dziewczyna. Dlaczego więc zgodziła się na tak tragiczną demonstrację wobec żywych? Dlaczego?!

To pytanie przewijało się przez usta wszystkich zainteresowanych, żyło nim całe miasteczko Żary liczące niewiele ponad 20 tysięcy mieszkańców.

Sierżanta to pytanie od Zielonej Góry popłynęło strony prawnej nie interesuje. On miał stwierdzić,

czy nie zachodzą podejrzenia zabójstwa lub jakichś innych cech kryminalnych, a ponieważ samobójców prawo nie obejmuje — sierżant kończy śledztwo z dopiskiem — sprawa do umorzenia.

Tym bardziej przychodzi mu to łatwo, że jest to już chyba 12 sprawa samobójcza w tym roku i może się w końcu człowiekowi wszystko znudzić.

— ...proszę pana, dwa dni temu baba palnęła sobie w lewą pierś. Ładna kobieta — matka małego chłopca. Jeszcze na chwilę przed śmiercią wyjrzała oknem i strofowała swego synka, aby nie biegał po jezdni, bo auta, wie pan... a potem pach, pach — trzy razy w serce i trup. Rewolwer należał do jej męża, który służy w wojsku. Baba miała wszystko — niczego jej nie brakowało, tylko kochliwa była jak nie wiem... — informuje zawodowo sierżant R.

Przeglądał listy pozostawione przez trzy denatki z tamtej tragicznej nocy.

Kochany Stefcu... — pisze Pawlakówna do Stefana R. swego ostatniego kochanka — kochałam Ciebie i kocham... nie zapomnij mnie... muszę odejść... na wieki... twoja zhańbiona Maria

W podobnym stylu pisała Wroczyńska do swej wielkiej pierwszej i ostatniej miłości — T.S., zawodowego wojskowego z miejscowej jednostki.

To byli pierwsi mężczyźni w ich życiu i pierwsze rozczarowania. Pierwszy lek zazdrości i cierpienie na skutek zdrady. Nieszcześliwa miłość — jak potem orzekły koleżanki.

Lecz czy tylko to ich pchnęło, do tak rozpaczliwego kroku — zbiorowego samobójstwa, w małej kałuży zwanej szumnie basenem?

Z wywiadów R. pojechał obejrzeć basen, taka nieoficjalna wizja lokalna.

Niewielkie lustro wody płytkiej z brzegu — dalej niegłębszej, przy tegorocznej suszy, niż 3 metry.

Sierżant rzuca kamieniem w tafie wody, aby plastycznie ukazać miejsce, gdzie tonęły trzy dziewczyny. Trzeba być bardzo upartym,

aby znaleźć śmierć w takiej wodzie. Wystarczył bowiem jeden krok, aby stanąć nogą na twardym, żwirowatym gruncie.

Dziewczęta nie ufały sobie, dlatego powiązały się krajkami sukienek, stąd też sińce u Felisiakówny, chciała się w ostatniej chwili ratować.

Taksówka jedziemy na cmentarz. Sierżant chce mi pokazać wszystko. Chce pokazać jak piękny grób na miejskim cmentarzu usypało trzem nieszczęsnym dziewczynom.

Jest jesień, ale na grobie ciągle kwitną świeże kwiaty.

— A co się działo w kościele, redaktorze, pan nawet sobie nie wyobraża! Denatki ułożono w białych trumnach, na trzech katafalkach zestawionych z ław kościelnych, był ksiądz, nawet odprawiono Requiem i ponad 5 tysięcy ludzi w pogrzebie — objaśnia sierżant R. — a plotki... fantastyczne.

Wyobraziłem sobie te plotki, kiedy w niedzielny wieczór już po pożegnaniu uprzejmego sierżanta poszedłem na spacer ulicami miasteczka. Szukałem odpowiedzi na pytanie: Dlaczego?

Taki był w końcu cel mojej reporterskiej wyprawy. Nie przyjechałem po tanią sensację. To załatwiły już za mnie miejscowe i stołeczne gazety.

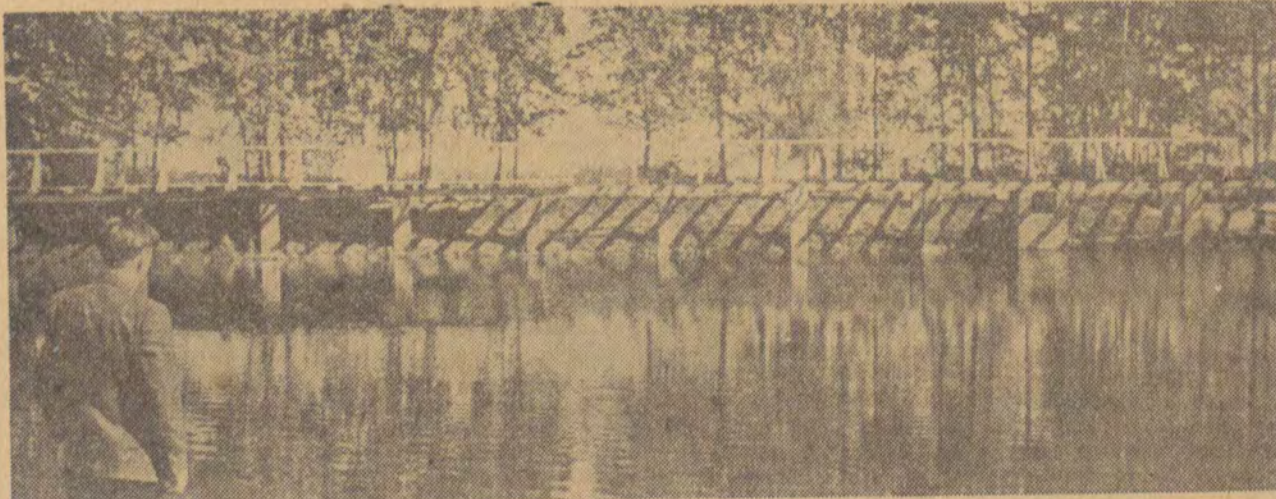
Wzdłuż głównej ulicy, na krawężniku chodnika, chmara młodzieńców — ubrani dostatnio, miny znudzone — spojrzaniem lustrują przechodzących dziewczyny. A dziewczyny chodzą tutaj parami lub czwórkami — często ubrane w identyczne z jednakowej tkaniny sztywne sukienki. Dziewczyny jest tu więcej niż chłopców. W swoisty, tylko dla małych miasteczek typowy sposób, kokietyują młodzieńców. A w oknach ludzie. Zza wrozyściej firany spogląda na mnie okropna baba i lustruje przenikliwie oczami. Obca dla niej twarz.

To „opinia publiczna“ małego miasteczka zajęła swoje codzienne stanowisko obserwacyjne. Jeszcze się z nią spotkam trochę później.

(Dokończenie na str. 8)



Zbiorowy grób trzech młodych dziewcząt na cmentarzu w Żaganiu



Basen, który stał się miejscem tragedii

Ewa Dąbrowska

KOGUTOM

Dobranoc mała czarna muzu
ty jesteś północ
na kogucich nóżkach
moja uboga północ
szeleszcząca przetrąconym skrzydłem

nie mam schronienia
z twoich wątych piórek

próżno odwijaj
bure szmatki godzin
ostatnia
przeziębiona zła czerwienią dnia
jest zawsze jednakowa

dobranoc mała czarna muzu
karzelku
przed którym co dzień
u kładam mozaikę z kolorowych szkiełek
strząskanych ścian niepotrzebnego światła
bijąc pokłony ze struchlałym sercem

dobranoc
ty jesteś północ
kwitujące moje czuwanie
rażną pochwałą kurników
niech ci wystarczy ten hejnał
dobranoc mała czarna muzu
kukuryku



ZABAWY Z ZAPALKAMI

Plomyk zapalki w pełnym świetle słońca taki wąty trzeba mówić szeptem aby go nie spłoszyć

trwał zbyteczny i konsekwentny powoli narastał wokół wielkie sferyczne sferyczne strzępy ciemności wirowały on był w centrum zgasił nie patrzyliśmy sobie w oczy.



Ona przychodzi nocą przez zamknięte drzwi aby kraść moje pantofle moje suknie moją twarz

wędruje bezludnymi ulicami uśmiechając się do siebie
nie bronie jej tego

rano wszystko jest na swoim miejscu drzwi zamknięte i nawet siebie znajduję prawie tę samą co wczoraj.

odgłosy str.
7

Kulisy wielkiego śledztwa

DLACZEGO ?

Dokończenie
ze str. 6

gdy wejdę w uliczki, gdzie mieszkały zmarłe tragicznie dziewczyny.

Tu „wszystko” wszyscy wiedzą o wszystkich. Jutro możesz być na ustach miasta i zdobyć rozgłos równy B. B. Możesz również być wyklepy po wszystkie czasy. To częściej. A jeśli jesteś dziewczyną, koniec z tobą. W tym mieście nie wyjdzie już ona za mąż. „Opinia publiczna” przeniesie „sławę” do drugiego małego miasta i tam znów będzie rosła fama. Spotkałem „opinię publiczną” gdy wchodziłem do małego mieszkanka p. Wroczyńskich. We wszystkich pustych oknach zamajaczyły twarze — wiedziały do kogo idę, nie wiedziały tylko kto ja jestem.

Zatrważająca przeciętność i marazm atmosfery małego miasta.

— Ona się wstydziła sąsiadów. Chodziła z nim tyle czasu; wszyscy wiedzieli, że bywała u niego, i teraz kiedy on ją zaczął zaniedbywać — chodzić z inną, utopiła się — opowiada matka Wroczyńskich.

— Czy pan nie wie gdzie to oddać? — pokazuje mi czerwoną legitymację ZMS-u i pieczęć do pokwitowań składek członkowskich — ona była jakąś grupową tam — muszę to chyba odnieść do fabryki.

W mieszkaniu jest szaro — ciemno prawie. Dwaj chłopcy — bracia zmarłej — bawią się bez troski w progu pokoju nie zwracając na nas uwagi.

— A czy pan nie wie, co wykazało badanie lekarskie? — pyta matka. Bierze mnie pewnie za kogoś z prokuratury lub MO. Może nie dosłyszała, gdy mówiłem jej że jestem reporterem. Pytanie postawione było z dużym zażenowaniem, zażenowała się lekko w tym momencie.

— O ciążę chodzi pani? — „tak”

— Czy teraz ma to jakieś znaczenie?

— No ma, bo byśmy wystąpili przeciwko niemu, o odszkodowanie... A jeszcze tak niedawno matka Wroczyńskiej jechała gościem pod Kalisz, aby odebrać swoją schedę. 50 tysięcy złotych na wiano ślubne dla córki. Właśnie chodziło o ślub z nim — z ob. T. S. z miejscowej jednostki.

A jeszcze tak niedawno pożyczyci mu kilka tysięcy złotych na kupno motocykla, i teraz nagle budzi się w niej jakaś chęć odwetu.

Nie moja jest rzeczą badać, czy niechęć do T. S. wynikała tylko teraz po śmierci córki, czy istniała przedtem. Dla mnie jest ważne co innego, atmosfera w jakiej żyła córka i co mogło być moralną przyczyną jej tragicznego kroku. W miasteczku znaleźli się ludzie, którzy na gwałt chcieli uczynić z tego wypadku sprawę polityczną. Ci sami może, którzy przedtem mówili o niej, że się puszczą. Obrzydliwy drobnomieszczański sposób zaglądania do cudzych serc i okien jeszcze raz zdał egzamin na smutną piątkę. Zasuszone dewotki miały pretensję do miejscowego wikariusza, że pokropił zwłoki święconą wodą i wystawił je w kościele. Wszystkiemu winne jest ZMS — szeptały dewoty w kruchcie kościelnej.

„Opinia publiczna” zza firanek okiennych i z kruchty kościelnej cieszyła się z trzech swoich nowych ofiar. Błota pokłony przed wielkim obrazem na intencję przeblagania ich wielkich grzechów. Swojej winy nie czuła.

Skądże. Kanibal wszak karmi się ludzkim trupem.

LEON JANKOWSKI



1

Kiedy pierwszy raz od roku 1927 wydobyto sprawę spadku po kapitanie Brandt na forum publiczne, Stefan Bratkowski wyrysował pięknie w „Dookoła świata” drzewo genealogiczne rodziny Pinno. Trop poszukiwań spadkobierców gubił się gdzieś w licznych rozgałęzieniach tego drzewa. Oczywiście, Bratkowski przeświadczony był od początku, że właściwymi spadkobiercami są bez wątpienia Pinnowie.

W „Odgłosach” całą sprawę poprowadził Karol Badiak. Ten miał o tyle ułatwione zadanie, o ile i łatwiej było mu wierzyć w słuszność swoich przewidywań, a mianowicie, że spadek po Brandcie, jak prosta logika wskazuje, otrzymała Brandtowie.

Obaj dzielni, młodzi reporterzy z pasją rzucili się w wir dociekań i poszukiwań, ale, jak sądzę, zbyt jednostronnie podeszli do rzeczy, bo nie w tym sedno, czy spadek otrzymają Pinnowie, czy Brandtowie, a sedno w tym, by w ogóle udowodnić prawa spadkowe kogoś z potomków starych rodów, nawet gdyby ten ktoś miał obecnie nazwisko Kowalski.

Podczas kiedy moi koledzy drukowali bardzo powierzchowne i nie nowego nie mówiące informacje o swoich dociekaniami, ja zająłem się czymś o wiele ważniejszym dla sprawy, mianowicie obliczyłem realną wartość spadku, podlegającą przekazaniu na prywatną własność właścicielu spadkobiercy. Bo powiedzmy sobie szczerze; czytelniczy „Odgłosów” oraz „Dookoła świata” od paru tygodni obserwują z mieszanymi uczuciami batalię spadkową. Potrudziłem się nieco i zbadałem opinie ludzi z różnych kręgów społecznych na ten temat. Niektórzy uważają całą sprawę za bluff, czyli mówiąć prościej, za dziennikarską kaczkę. Drudzy sądzą, że nawet, jeśli jakikolwiek spadek istnieje, to po tylu latach spadkobiercom dostanie się tak mało, że dobijanie się o swe prawa nie warto nawet zachodu. Inni twierdzą, że jeśli, spadek istnieje, to już za późno (450 lat) by ktoś go otrzymał; a jeszcze inni, że nieprawdopodobne jest, by wobec dużej ilości osób o nazwisku Pinno i Brandt mieszkających za granicą, spadek miał przypaść mieszkańcowi naszego kraju.

Otóż najpierw należało wyjaśnić sprawę wielkości i realności materialnej spadku. Dotychczas bowiem operowano takimi danymi, jak plantacje trzciny cukrowej na Cejlonie, plantacje bawełny w Indonezji, plantacje kawy w Brazylii — oczywiście bez podania obszaru tych plantacji, wartości, ilości ludzi na tych plantacjach zatrudnionych, itp. Ponadto słysząc coś było o milionach talarów, nie wiadomo czy w złocie, czy w srebrze. O dwu tysiącach Murzy-

nów — niewolników też się słyszało. O pałacach w Holandii, i wielu, wielu innych bałkowskich skarbach.

Tymczasem wszystko przedstawia się o wiele jaśniej, majątek jest, wprawdzie czas i zmiany gospodarcze w świecie wpłynęły na jego uszczuplenie, ale to nie nie przeszkadza, bo prostu łatwiej będzie się we wszystkim połączyć.

Otóż plantacje trzciny cukrowej na Cejlonie rzeczywiście należały do spadku po Brandcie i to wielkie, bo obejmujące około połowy całej powierzchni wyspy! Jednak teraz już dobra cejlonskie są upaństwowione, więc nie warto nawet obliczać wartości plantacji, tu pozostał spadkobiercom kwitek. Z Indonezją identyczna sprawa — i chyba słusznie. Niewolnictwo, na szczęście, już zostało zniesione, więc nasi rodacy właścicielami niewolników nie będą. Z pałacami w starej Holandii również sprawa się ma inaczej.

Konkretnie: W bankach holenderskich złożono papiery Brandta, pieniądze w złotych talarach i guldenach, a są one do natychmiastowego przez prawowitego spadkobiercę odbioru wraz z narosłymi przez wielki procentami. Po odliczeniu narosłych przez

dzierżawy, a jest tych aktów na pewno kilkaset i na pewno wiele papierów zginęło, bez których ta sprawa nie da się załatwić.

W testamentie kapitana Brandta jest klauzula:

„Spadek otrzyma ten potomek, który będzie wyznaczał kalwińsko-augsburskiego, i gdziekolwiekby był, po otrzymaniu spadku osiądzie na stałe w Holandii”.

Przypomnijmy sobie: główny pień rodu Brandt i Pinno wyemigrował do Polski, tu osiadł, a wyznana kalwińsko-augsburskiego się nie wyrzekł.

A spadek wart jest równo dwadzieścia sześć miliardów złotych polskich.

2.

W Gdyni mieszka dziś pani Zofia S. z domu Pinno, córka Aleksandra Pinno. Aleksander Pinno w drzewie genealogicznym Bratkowskiego jest jedną z ostatnich najważniejszych odnóg. W roku 1927 Aleksander Pinno otrzymał od swej ciotecznej babki Emilii Pinno, papiery potrzebne do przeprowadzenia procesu dowodowego w sprawie spadku. Aleksander dał wtedy anonis w prasie, m.in. w prasie łódzkiej, zapraszający wszystkich mieszkających w

pod Skarżyskiem, gmina Wołów, gdzie przy ulicy A numer 12 pan Pinno kupił sobie dom. Właściwie dom należał do osiedla przy fabryce amunicji, ale przed wojną i podczas okupacji należał do rodziny Pinno. Tam na pierwszym piętrze stał zielony kufer, którego tajemnicę znał tylko sam Aleksander Pinno. Mimo to członkowie rodziny wiedzieli, że w kuftrze ukryte są wszystkie papiery spadkowe, oraz oryginalny, stary



obraz — mozaika z barwnych trójkątów, przedstawiający, gdy się nań patrzyło z lewej strony Matkę Boską, a gdy z prawej, Chrystusa w cierniowej koronie. Obraz ten przed wojną oceniono na osiem tysięcy złotych. Aleksander Pinno uważał ten obraz za

TAJEMNICA zielonego kufra

wielki podatków, otrzymamy realną sumę sześciu milionów talarów, a więc równowartość sześćdziesięciu milionów złotych guldenów, a więc równowartość dwustu sześćdziesięciu milionów dolarów, a więc równowartość (według bieżącego kursu) dwudziestu sześciu miliardów złotych polskich!

Do tego doliczyć trzeba nieruchomości, a więc: dwadzieścia trzypiętrowych starych kamieniczek w Amsterdamie oraz zamek Dorn, Kamieniczki pozostały albo pod zarządem miejskim, albo w rękach prywatnych posiadaczy lub dzierżawców. Zamek Dorn natomiast był w swoim czasie schronieniem cesarza niemieckiego Wilhelma, kiedy to Wilhelm musiał kraj opuścić. Cesarz przypuszczalnie zamek od ówczesnych dzierżawców odkupił, nie bardzo legalną



droga, a kiedy wrócił do Niemiec, rząd holenderski zamek upaństwowił, jako nieruchomość opuszczoną.

Odebranie kamieniczek zamku Dorn miastu, państwu i prywatnym właścicielom byłoby możliwe po udowodnieniu nęciściwości we wszystkich dotychczasowych aktach kupna, sprzedaży i

Polsce Pinnów do wzięcia udziału w naradzie rodzinnej w sprawie spadku. Wystał też Pinno adwokata do Holandii, by w ten sposób zorientować się w możliwościach. Pieniądze na ten cel Pinno posiadał, ponieważ odziedziczył w 1926 roku kilka kamienic przy ulicy Zachodniej w Łodzi (odziedziczył po ciotce swej, Siemonowej) oraz pieniądze, za które kupił sławetny Półtalarzek koło Łasku, gmina Dłutów. Miał też Pinno w tym czasie miłą w Zgierz, do spółki z niejakim Rapke.

Więc adwokat Aleksandra Pinno pojechał do Holandii w roku 1927, by znaleźć właściwe nazwisko spadkobiercy Brandta. Testament Brandta liczył kilkanaście stron. Brandt umarł bezdzietnie, ale był ożeniony z Pinnówną, więc część majątku przeszła w ręce rodu Pinno. W następnym pokoleniu z inną Pinnówną ożenił się niejaki Van Meerch, i ten sprawę spadku zagmatwał, wydzierając z testamentu Brandta całe karty, fałszując nazwiska, wywierając całe fragmenty. (Dlatego przez długi czas plantacje cejlonskie były w rękach Van Meerchów). Pinno chciał dociec, czy istnieje odpis testamentu, nie naruszony przez zachłannych fałszerzy. Zachodziła obawa, że cały spadek przejdzie w ręce rodu Van Meerchów. Tak się jednak nie stało.

Adwokat Aleksandra Pinno przywoził wiele cennych dokumentów z Holandii, i dokumenty te zostały ukryte w zielonym kuftrze z metalowymi okuciami w domu pana Pinno. Ale już nie w Półtalarce, a w osiedlu Bór

talizman rodzinny, ponieważ od blisko czterech wieków był on w posiadaniu Pinnów. Było w tym grubym, malowanym na desce obrazie „drugie dno”, gdzie mieściły się pieczętowane ukryte najważniejsze dokumenty spadkowe.

Podczas okupacji Aleksander Pinno pracował w fabryce amunicji w Skarżysku. Tuż przed wyzwoleniem Niemcy załadowali wszystkich pracowników fabryki na ciężarowe samochody i powieźli w kierunku swojej granicy. Aleksander Pinno wyskoczył z pędzącego samochodu i przedostał się do Łodzi. Do Skarżyska wrócić nie mógł, dostał się tam dopiero po wyzwoleniu. W tym czasie lokatorka, która zajmowała drugą połowę domu w Borze, niejaką Bernatkowa, spłądowała mieszkanie Aleksandra Pinno. Zielony kufer zniknął, a z nim drogocenny obraz, Barnatkowa zapewniała, że obraz zabrał wójt z Bliżyna — ale skąd mogłaby nie była obecna przy spłądowaniu kufra?

Istnieje więc zasadniczy problem: co się stało z zielonym kufrem, a właściwie z jego zawartością?

Istnieją racje, pozwalające przypuszczać, że rozwiązanie tej zagadki poręczyliby rozwiązać problem ustalenia właściwych spadkobierców kapitana Brandta. Bowiem Aleksander Pinno wybierał się osobiście do Holandii, i obaj z adwokatem przekonani byli o całkowitym tej wyprawy powodzeniu. Przeszkodziła w tym wojna.

To są oczywiście racje nie decydujące, bo racje rodzinny Pinno, tym niemniej pozwalają domyślać się wagi dokumentów skrytych w zielonym kuftrze.

3.

Czy są jakieś sygnały, jakieś ślady, po których można by dojść do ustalenia miejsca, w którym znajduje się obecnie zielony kufer? („Zielony kufer” używam tu jako skrótowe określenie zaginionych dokumentów).

Jestem w posiadaniu paru adresów, trzymam konce nico, po których, nie wiem jeszcze dokąd można zajść.

Oto w latach 45—46 sprawy Aleksandra Pinno prowadził rejent Trepczyński, który miał kancelarię z Zaborowskim w Łodzi, przy ulicy Piotrkowskiej 10. Kancelaria już nie istnieje, ale tamci ludzie żyją, gdzie są? Co wiedzą?

Prowadził interesy Pinno adwokat Smoliński. Czy żyje? Gdzie przebywa? Co wie?

W Zgierzu żyją potomkowie Rapke, współwłaściciela młyna. Może oni coś wiedzą...

W Zgierzu przy ulicy Zielonej 5a mieszkali niejacy Pokrant i Bałaban. Gdzie są teraz? Co wiedzą?

W okolicach Łodzi, w Przedczu, mieszkał Krystian Pinno. Gdzie jest teraz, co wie?

W miejscowości Jedlnia — Letnisko pod Radomiem mieszka p. Anna Basińska. Była ona wychowanicą Aleksandra Pinno, była świadkiem wszystkich spadkowych trosk i poszukiwań swego opiekuna. Co ona wie?

W Borze pod Skarżyskiem, w dawnym domu Pinnów mieszka do dziś Bernatkowa. Ona musi coś wiedzieć.

Jak się nazywał dawny wójt z Bliżyna? Czy umarł, jeśli nie, to gdzie jest teraz? Czy on wziął drogocenny obraz? Gdzie jest zielony kufer?

W Ismaili (Suez Canal-Authoriti) w Egipcie przebywa Jerzy Pinno, brat p. Zofii S. Pinno. Jest on jednym z dziesięciu polskich pilotów, zaangażowanych przed trzema laty do pracy na Kanale Sueskim. Jerzy Pinno utrzymuje kontakt z Polską i Holandią. Ma wiele cennych wiadomości, między innymi tę, że spośród wielu Brandtów i Pinnów rozsypanych po świecie, tylko polscy potomkowie są uprawnieni do ubiegania się o spadek. Wkrótce pan Jerzy przyjedzie do kraju i dowiemy się o wynikach jego starań.

Do tego czasu wszakże musimy odkryć tajemnicę zielonego kufra. Każdy, kto miałby jakikolwiek związek z tą sprawą proszony jest: o pomoc. Listy proszę nadysłać do redakcji „Odgłosów”, Łódź, Piotrkowska 96, na nazwisko ANDRZEJ BRYCHT.

Przez porty świata • Przez porty świata • Przez porty

WIESŁAW GÓRECKI

INDONEZJA wiek XX

Nasz statek trudno nazwać inaczej. To rozpalony piec hutniczy. Szoty (ściany statku) są tak nagrzane, że nie można ich dotknąć. Od pół godziny z dolnego pokładu słychać jakieś dzikie pokrzykiwania. O 13.30 ostry, przeciągły ryk syreny okrętowej zawiadamia załogę o przybyciu na statek Króla Wszech Mór i Oceanów Neptuna wraz ze świtą.

My, niewierni, szybko musimy pędzić na pokład, aby spóźnieniem nie obrazić króla. Może to się dla nas źle skończyć. Biegnę — jak i reszta niewiernych, tylko w jakichś starych spodenkach gimnastycznych. Trzeba być zupełnie rozbranym. Na podwyższeniu II ładowni udekorowanym flagami kodu i banderą, siedzi dostojny, w fantastycznych szatach Neptun, jego żona księżna Prozerpina, kapitan, Tryton, Astrolog, Lucyfer, trzy diabły, lekarz i fryzjer z pomocnikami, rusalki.

Kapitan przekazuje Neptunowi dowództwo statku. Na stole biesiadnym wódka, wino, zakąski. Tylko alkohol i zakąski inne dla Neptuna i inne dla „niewiernych”. Dlaczego? Wkrótce się przekonamy.

CHRZEST (CZYLI, JAK ZOSTAŁEM SLEDZIEM)

Grupa niewiernych skuta zostaje łańcuchami. Diabły krążą wokół, biją nas ogonami, smarują jakimś świństwem, leją wodą. Po kolei zostajemy wzywani do chrztu. Słońce praży potwornie. To przecież równik i samo południe. Pokład niemilosierdzie parzy bosa stopy, tak że trudno ustać. Wreszcie przypada i moja kolej.

Najpierw diabły ciągną mnie do lekarza. Krótkie badanie i orzeczenie: bańki (normalne szklanki, przystawiane do ciała, tak jak prawdziwe bańki — ślady nosiłem kilka tygodni), plukanie żołądka (przez wielki lejek ustawiony nad ustami kibel morskiej wody. Brr...), czyszczenie zębów (smarowanie zębów mazutem), smarowanie (całe ciało smarowane minią — trochę to parzy — oraz oliwą, sadzą, pie-

rzem na podkładce jakiegoś lepiku), pędzlowanie gardła (jakąś starą szczotką umoczoną w rozpuszczonym mydle), parę lekkich wstrząsów przy pomocy dotknięcia przewodów elektrycznych pod napięciem (małym) i diabły ciągną mnie do fryzjera. Tu odbywa się golenie (gębę smarują lepikiem, pierzamy i jakąś farbą), strzyżenie (lepik i płatki owsiane wtarte we włosy). Potem jakieś potworne świństwo leje mi się na głowę w charakterze perfum. Szczypte to potworzenie w oczy, tak że nie już nie widzę. Ale oczywiście uśmiecham się radośnie, bo trzeba się uśmiechać. Inaczej Neptun mógłby sądzić, że źle się czuję i powtórnie skierować mnie do lekarza.

Po krótkiej operacji u fryzjera na pół ślepy, czolgam się do „rekina”. To bardzo wymyślna bestia. Długa, zrobiona z brezentu wąska rura, zakończona z obu stron małymi otworami. Trzeba nią przeleźć z jednego końca na drugi. Ale z obu stron — z przodu i z tyłu — wałęsanie wody pod bardzo dużym ciśnieniem. Na podłodze rury pełno fasoli, kawałków drzewa, a wszystko to solidnie polane oliwą. W „rekinie” normalny człowiek ledwie się mieści, trzeba się czołgać. Fasola i drzewo ranią ciało, od oliwy jest ślisko, tak że droga przez „rekina” trwa długo. Cały czas diabły poganiają bieciami lub zatrzymują w żmudnej wędrówce, siadając na twym grzbiecie. Wreszcie, uff... jest świeże powietrze.

Teraz diabły chwytają mnie znowu i rzucają na kolana przed Neptunem i jego świtą. Muszę dziękować za okazaną mi łaskę, prosić o przyjęcie do morskiej rodziny i nadanie imienia. Neptun jest już nie zupełnie trzeźwy. Łaskawie częstuje mnie winem (woda morska, zęza, sadze, pieprz, sól, papryka, oliwa) i kanapką (mydło, pieprz, papryka, surowy kartofel). Trzeba to zjeść z uśmiechem i podziękować. Neptun uśmiecha się do mnie i odczytuje wierszyk z nadanym mi imieniem:

„W dalekim rejście wychudł
SLEDZ go nazwiemy
Spisał się dzielnie”.

Jestem nareszcie wolny. Wydany mi dyplom morski obwieszcza światu, że imieniem Sledz nazwan, przyłączyłem się do wszechświatowej rodziny marynarskiej, że zobowiązany jestem do szlachetności, dzielności, niesienia pomocy potrzebującym.

Biegnę się myć. O nałwny. Robiłem to ponad dwa tygodnie — wodą, mydłem, benzyną, oliwą. Włosy musiałem ogolić na zero.

MARTWY LEW

Następne dni nie przynoszą nic ciekawego. Upał na przemian z ogromnymi, tropikalnymi deszczami. Woda lejąca się z nieba tworzy tak gęstą zasłonę, że nie widać własnej wyciągniętej ręki. Okrętowa syrena buczy ostrzegawczo. Jesteśmy już jedenaście dni w morzu.

Dwunastego dnia po południu ukazują się ląd. Wysokie góry Sumatry. W jakiś czas później przez lornetkę, a wkrótce już gołym okiem widzimy słynny potężny wulkan Krakatau. Jest to stroma wysepka, wystająca z morza na osiemset metrów w górę. Wulkan jest dziś nieczynny, ale kiedyś, w roku 1883, nastąpił tu największy na świecie wybuch wulkanu. Wybuch, który zniszczył znajdujące się w promieniu stu kilometrów statki. Fala wywołana przez niego dotarła aż do wybrzeży Japonii i Ameryki, zalała i zniszczyła pobliskie miasta. Katastrofa pociągnęła za sobą śmierć kilku tysięcy ludzi.

Krakatau wygląda jak lew, z wyciągniętymi przed siebie łapami i wysoko uniesioną, lekko przechyloną głową. Dziś lew jest już martwy. W lewo od niego dwie mniejsze wysepki. Jedną z nich, wysoka na dwieście metrów, nazywa się Anak-Krakatau. To także wulkan, który dosłownie co kilka minut strzela w górę gęstym, czarnym dymem. Wybuch ma dobre ponad sto metrów.

Na pokład wyległa cała załoga od pracy załoga. Z podziwem obserwujemy potęgę przyrody. Po Dżakartę jeszcze 85 mil. Opuściliśmy Ocean Indyjski, wchodzimy w Sunda Strait (Cieśnina Sundaj). Mijamy niewielkie latarnie morskie. Teraz z lewej burty mamy wybrzeża Sumatry, z prawej — Jawy. Statek rozpoczyna manewry pośród setek wysepek o strzępiastych wybrzeżach, które leżą między Jawą a Sumatrą. O drugiej w nocy rzucamy kotwicę na redzie. Do portu wchodzimy dopiero rano.

Port znajduje się w dzielnicy Dżakarty, która nazywa się Priok. Dokoła bardzo dużo uzbrojonego w ciężką broń przeciwpancerną wojska. Na Sumatrze i Celebesie ciągle trwają jeszcze zacięte walki z rebeliantami. Wojsko odgrywa w kraju ogromną rolę. Sprawa Irianu Zachodniego nie schodzi ze szpalt miejscowej prasy. Nawet w górach Jawy — wyspy, na której jest stosunkowo najspokojniej — grasują bandy rebeliantów. Mieliliśmy się możność o tym przekonać w czasie wycieczki w góry, kiedy dla bezpieczeństwa eskortowały nas wojskowe samochody pancerne.

WIEK XX?

Dżakarta? Architektura banalna, chaotyczna, nieciekawa. Tysiące riksów, tysiące żebraków na ulicach. Sklepy zaopatrzone bardzo źle. Drogo. Pieniądz z każdym dniem traci na wartości.

Nielatwo jest wydobyć się Indonezji ze straszliwego zacofania. Holendrzy, którzy przez wieki prowadzili rabunkową gospodarkę ogromnych bogactw naturalnych tego kraju, nie darmo słyną jako najokrutniejsi kolonizatorzy. Widziałem także w czasie rejsu bryle lub aktualne kolonie angielskie, francuskie i muszę stwierdzić, że Holendrzy w przeciwieństwie do Anglików, nie starali się nawet o pozory. Nie podjęli nawet prób stworzenia przemysłu, szerzenia oświaty. Korzystając z darmowej prawie siły roboczej, wywozili nie się dało i jak długo się dało. Wstrząsające wrażenie robi na człowieku dwudziestego wieku, który widział już najnowsze zdobycze cywilizacji, życie milionów ludzi w warunkach niemal wspólnoty pierwotnej. Patrząc na to, uświadamiam sobie, że w dwudziestym wieku, który historia zanotuje chyba jako okres wielkiego rozwoju myśli ludzkiej, ogromna część ludzkości żyje w głodzie i straszliwym zacofaniu.

Widziałem przedtem kilka miast Holandii. Zamożność, uregulowany tryb życia. Pracowało na to między innymi 90 milionów Indonezyjczyków. Nie dziwie się niemało, jaką żywią tu do kolonizatorów.

W PRIOKU SA DZIEWCZĘTA Z BALI

Priok — dzielnica portowa Dżakarty, położony jest o kilka kilometrów od śródmieścia. Małe chatki z trzciny i gliny, odkryte kuchnie, rynsztoki, małe bary z dużymi zapasami ulubionego przez Holendrów Balsa.

Priok słynny jest na całej

kuli ziemskiej. Jego sławę roznoszą marynarze. Oni są bowiem jedynymi białymi ludźmi, którzy bardzo często goszczą w Prioku. Skąd sława Prioku?

Mieszkają tu prawie same młode piękne dziewczęta indonezyjskie. Legenda głosi, że najpiękniejsze dziewczęta mieszkają na indonezyjskiej wyspie Bali. Tu w Prioku znajdziecie dziewczęta z Sumatry, Jawy, Bali, z Dżakarty, Surabai i Bandungu. Mają nie więcej niż czternaście — dwadzieścia lat. Ich zajęcie można nazwać prostytutką. Można... Jednak panujące w Prioku obyczaje są dla Europejczyka czymś szokującym, niezrozumiałym, trudnym do uwierzenia. Stąd sława Prioku na świecie.

Dziewczęta z Prioku nie piją żadnego alkoholu — nawet piwa. Są uczciwe swoją specyficzną uczciwością. Nie zdarzy się w Prioku wypadek, aby komuś cokolwiek ukradziono. Można tu zgubić na ulicy zegarek i być pewnym, że się go odzyska, bowiem — o dziwo — nawet nie cieszący się najlepszą sławą marynarze uważają, że to obowiązuje fair-play. Pijani marynarze dają dziewczętom na przechowanie nie zegarki, pieniądze i nie zdarzyło się, aby dziewczęta ukradła choć kilka rupii. Wiadomo natomiast powszechnie, że jeśli chcesz dobrze i tanio zwieźć miasto, to najlepiej wziąć za przewodniczkę dziewczynę z Prioku. Nie tylko świetnie pokaże w mieście wszystko, co warto jest obejrzeć, ale jeszcze wyklóci się z tak-sówkarzem i restauratorem o każdy grosz, nie pozwoli, aby cię oszukano.

Dziewczęta z Prioku mają jeszcze inne zasady, dzięki którym marynarze roznieśli ich sławę po całej kuli ziemskiej, choć, prawdę mówiąc, nie wszyscy bywalcy Prioku są z tego zadowoleni. Jeśli marynarz spędzi z którąś dziewczętą noc, a nazajutrz będzie pragnął zrobić to z inną dziewczyną z Prioku, może być pewny, że mu to się nie uda. Nie pójdziesz z nim żadna dziewczyna, choćby nie wiem ile chciał jej zapłacić, a od swej wczorajszej partnerki może co najwyższej dostać publicznie po buzi i nikt się za nim nie ujmie, bo nie uszanował miejscowych zwyczajów, a dziewczęta indonezyjskie są w tych sprawach bardzo krewkie.

Miejscowa zasada głosi: „Jeśli poszedłeś z jakąś dziewczyną, to choćbyś w porcie stał miesiąc, to z inną ci nie wolno”. Prawdę mówiąc wszystko dzieje się tu zgodnie z tym zwyczajem. Ba, nawet marynarze, którzy zjawiają się w Prioku po paromiesięcznej nieobecności także wracają do

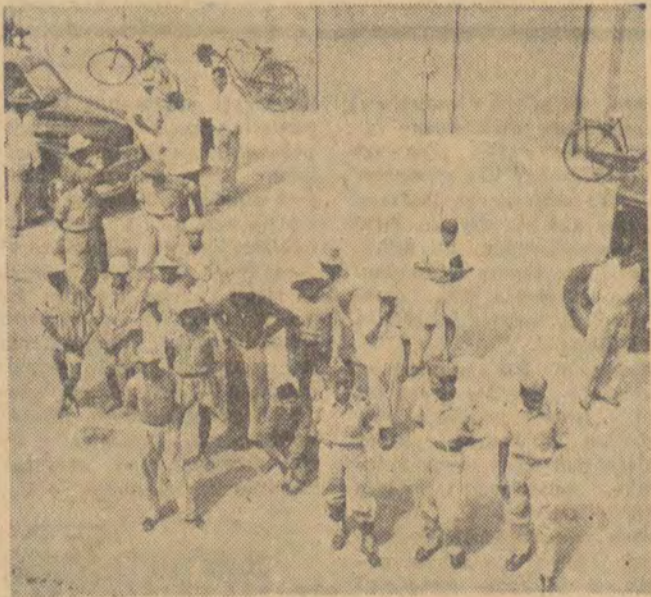
swych „starych” partnerek o ile te jeszcze są w Prioku. Bo trzeba Wam wiedzieć, że większość tych dziewcząt traktuje pobyt w Prioku jako przejściowy etap w swym życiu, jako środek zdobycia posagu. Gdy posag (jakas stosunkowo mała suma pieniężna) zostanie zdobyty, dziewczyna zawieszona na szyi umocowaną do złotego łańcuszka złotą dwudziestodolarówkę i czeka na męża. Co roku wiele dziewcząt opuszcza Priok wychodząc za mąż — są podobno wzorowymi matkami i żonami. Wiele rzeczy różni dziewczęta z Prioku od zawodowych prostytutek. Zawodowa prostytutka „pójdzie z każdym kto odpowiednio zapłaci”. Dziewczęta z Prioku nie. Warunkiem jest, aby mężczyzna podobał się dziewczynie. Sam widziałem „odpalanych”, którzy oferowali wysoką zapłatę i nie osiągnęli celu. Bo w Prioku dziewczęta nie umawiają się z góry o wynagrodzenie. Wiadomo nawet, że jeśli mężczyzna im się podoba a nie ma pieniędzy rezygnują czasem z zapłaty, choć prawdę mówiąc rzadko kto zjawia się w Prioku bez pieniędzy.

W Prioku jest na ulicach kilka wielkich studni. Codziennie rano gdy „goście” opuszczają Priok, udając się riksami na statki, dziewczęta idą pod te studnie. Odbiera się tam zbiorowe mycie i masaż. Masażystami są ślepy-żebracy, którzy najczęściej sami okaleczyli się, aby dzięki temu łatwiej uzyskać jałmużnę.

Każdy statek odpływający z portu żegnany jest przez grupę dziewcząt z Prioku. Wiele marynarzy prowadzi z nimi stałą korespondencję. Listy pisane są najczęściej międzynarodowym żargonem, w którym znajdziecie słowa z bardzo wielu języków świata.

Wiem, jak trudno uwierzyć w to wszystko, co tu o dziewczętach z Prioku napisałem. Wiem, jak łatwo skwitować to jednym ironicznym zdaniem o idealizowaniu prostytucji i epatowaniu dziwnościami. Wieni, bo kiedy mi to opowiadano zanim sam znalazłem się w Prioku, także nie chciałem wierzyć. Ale dziś nie dziwię się słowom pewnego, może zbyt kraciastego w swych sądach marynarza, który zakończył swą opowieść o Prioku słowami: „Obyście mieli tak uczciwe żony”.

Zdjęcia autora



Wojsko i dokerzy indonezyjscy oczekują na załadowanie statku. W głębi nasza rodzima „Warszawa” należąca do ambasady polskiej.



Główna ulica Dżakarty. Na słupie plakaty z gołębkiem pokoju, ale w górach trwa walka z rebeliantami.



Wojsko jest wszędzie, nawet w Prioku. Dziewczęta są z żołnierzami w znakomitej komitywie. Wystawiony do przodu karabin maszynowy nie przeszkadza we flirtach.

W PARYZU



"Tedy Girl 1959" nie ubiera się już w sposób zaniedbany a także nie lekceważy sztuki makijażu.

Dnia 31 sierpnia w skalistym parowie w górach Jury Francuskiej rozbił się jadący z nadmierną szybkością wytworny samochód sportowy. Podróżnym na szczęście nie się stało. Policja drogowa, która wkrótce przybyła na miejsce katastrofy, wyciągnęła spod szczątków pojazdu dwóch dwunastoletnich młodzieńców, ogłuszonych ale całych i zdrowych. Teraz dopiero nastąpiła niespodzianka. W kieszeniach ofiar znaleziono sporo biżuterii, kilkadziesiąt tysięcy franków oraz pistolety. Okazało się, że przypadek oddał w ręce władz członków od dawna poszukiwanej, nieuchwytej bandy młodocianych paryskich gangsterów, którzy w ciągu kilku miesięcy dokonali szeregu zachwałych napadów i włamań w różnych okolicach kraju. Samochód był, oczywiście, również kradziony.

Młodzieńcy przyznali się do wszystkiego. Wrócili właśnie z Cannes, gdzie — po rozdzieleniu łupów — rozstali się ze swymi współnikami, którzy innym skradzionym autem odjechali do Paryża. Nazwiska pozostałej na wolności pary przestępczej nie były dla policji obce.

Rozpoczął się pościg. W stocznych melinach zbiegów nie znaleziono, ale szybko odna-

lazł się trop. Prowadził na wieś, do ustronnej farmy, gdzie przebywali na letniku rodzice trzeciego, dwunastoletniego, pocziwcy zupełnie nieświadomego, jakich to wyczynów dopuszcza się ich synalek. Owszem, byli nawet dumni, gdy chłopak zjawił się nagle z narzeczoną, o kilka lat wprawdzie starszą, ale imponującą prezencją i oglądając towarzyską.

Nocą ruszyła oblawa. Niesety, tym razem przypadek pokrzyżował plany policji. Wybuchła burza, młodzi czuwali i w ostatniej chwili udało im się uciec do lasu, gdzie zostawili ukryty samochód. Mimo przestrzelenia w czasie gonitwy opon, oderwali się od prześladowców, przejechali kilkanaście kilometrów, porzucili samochód, zdobyli motocykl i... ślad po nich zaginął.

Na krótko. Następnego dnia rozpoznają ich w małym miasteczku. Chłopak otrzymuje postrzał w ramię. Pod kulami przemijają pod zamkniętym szlabanem. Przejeżdżający ekspres osłania ich na chwilę i ocala. Zostawiają motocykl na szosie, rozdzielają się, nikną w lesie.

Pojedynczo przedzierają się do Paryża, spotykają w umówionej knajpie i jeszcze tego samego dnia bieżącym Rolls-Roycem angielskiego tu-

rysty pędzą w stronę granicy belgijskiej.

Ale przypadki chodzą po ludziach, a szczęście nie zawsze dopisuje. Wracający ze służby kolejarz — fizjonomista zachodzi do małej nadgranicznej kawiarenki i z zainteresowaniem przygląda się młodej parze spożywającej skromne śniadanie. Gapiowa-

chuliganów. Wkrótce stanęła na czele dzielnicowego gangu. Spodziewała się piętego dziecka, ale teraz czuła się na tyle mocna, że kiedy Roger zrezygnował się, odnalazł ją i zaproponował wreszcie małżeństwo, odmówiła ze wzgardą.

Niedoszły mąż rozpił się, stracił pracę, ukradł coś z głodu i dostał się do więzienia. Po zwolnieniu został potulnym członkiem bandy, w której Lucienne, nagradzając posłusznymi swymi względami, sprawowała absolutną władzę.

Po pierwszych pomyślnych występach nakręty, wszystkich lecz piękną Lulu zwolniono z

Jako przyczynę „wstąpienia na złą drogę” w kronikach policyjnych notuje się często „absencję rodziców”. W domach zamożnych i kulturalnych bądź dla świętego spokoju, a więc z lenistwa, bądź też w imię fałszywej pojeje, nowoczesnej zasady tolerancji stosuje się liberalne metody wychowawcze. Dzieciom niczego się nie odmawia, ani niczego nie zakazuje. Później dopiero, w sądzie dla nieletnich, rodzice dziwią się, że córka niczego nie odmawia kolegom.

Bywa — jest to przypadek znamienity i wcale nierzadki — że rodzice prowadzą bujne życie towarzyskie. Matka — młoda jeszcze i ładna — góruje nad dorastającą córką urodą i elegancją, zazdrosna mimo, woli dziewczyna szuka pociechy u ojca, którego bardzo kocha, ale ten, w zasadzie przykładowy, albo pracuje albo wychodzi z żoną — nie ma czasu, nie dostrzega w córce budzącej się kobiety. Wówczas rodzi się kompleks niższości, poczucie krzywdy i opuszczenia, narasta bunt. Dziewczyna pragnie błyszczeć za wszelką cenę.

także nędza, haniebne warunki mieszkaniowe, alkoholizm. Młodzież, skryta i zamknięta w sobie, w sądzie chętnie się spowiada, mówi, czuje się winna, pragnie wyzwolić się z koshmaru.

Opowiada Berta, szef bandy, dziewczyna wyjątkowej inteligencji:

— Miałam lat osiem, gdy przylapałam matkę w kochankiem.

— Jeżeli coś powiesz ojcu, oddam cię do domu poprawczego.

— Opowiedziałam wszystko.

— Mam to gdzieś — usłyszałam w odpowiedzi — wszystkie baby są k...

Tak załamują się autorytety. Nowych trzeba szukać na ulicy.

— Mówicie, że to wstyd — wyznaje inna z przytłumionych. My chcemy tylko używać, tylko pieniędzy. A kto nas tego nauczył, kto nam jał przykład, że miłość nie istnieje?

Socjologowie, sędziowie, kuratorzy nieletnich — mowa o stosunkach francuskich — dochodzą do wniosku, że większość młodocianych przestępców to nie są ludzie źli. Są głęboko nieszczęśliwi i chorzy. Zamiast karać trzeba ich leczyć. Póki nie jest jeszcze za późno.

Opracował: H. D.

rzadzą

ty młodzieńców w roboczym drehchu i poplamionym swetrze oraz wyglądająca na gospośkę urodziwa dziewczyna w sportowym płaszczku i zielonej chusteczce, nie rozstając się ani na chwilę z wypchaną siatką na sprawunki, nie wyróżniają się niczym szczególnym, tylko... te twarze on skądś zna. No tak, z listów gończych.

Zaskoczeni przez policję podają się bez walki. Marcel Bertoux, „twardy Marcel”, sprawca niezliczonych napadów z bronią w reku, załamuje się i płacze. Ona jednak, Lucienne Colomba, „piękna Lulu”, zachowuje się jak przy stało szefowi bandy. Choć wie, że czeka ją dożywocie, oprowadzana i spokojna starannie dobiera słowa, całą winę bierze na siebie.

Film sensacyjny, gdyby to był film, mógłby zakończyć się podobnie patetyczną sekwencją. Widz wychodziłby ukontentowany, że sprawiedliwość zatriumfowała, ale właściwy bohater, czarny charakter, zasłużył na oklaski. Jednakże w życiu, jak w dobrej kryminalnej powieści, najważniejsze są motywy.

Niejednemu z chuligańskich wyrostków nie chce się pracować. Niejedna dziewczyna marzy o klejnotach i zabawach, niejedna młodzieńiec — o luksusowych samochodach i życiu hollywoodzkich nabożników. Nie są to jednak przyuczyny wystarczające, by piękna, dwudziestoletnia kobieta organizowała bandę rabunkową, stawiała na czele gangu „skórzanych bluz”. Jak to się stało?

Lucienne nie miała łatwego dzieciństwa. Ojca nie znała, matka ją porzuciła, dziadkowie, u których się wychowywała, obdarzali ją tylko szturchańcami. Gdy miała lat sześć, w dzień święta narodowego wykradła się do Paryża. Tańczyła na którymś z placów, aż spostrzegła się, że swita. Nie miała odwagi wracać. Przygodny tancerz, młody drukarz, przysparzał jej, zabrawł do siebie. W ciągu siedmiu lat sprokurował jej czworo dzieci, ale ożenić się nie chciał.

— Po fakcie może mnie zdradzać — mówi — a tak, czekając na ślub, będzie wierna. Zaharowana, zaniedbana, zmęczona zaczęła szukać rekompensaty. Poznała kilku chłopaków i przekonała się, że uroda jej działa na mężczyzn.

Pokłóciwszy się z kochankiem rzuciła dom i dzieci. Przysłała do grona młodych

aresztu, by mogła zaopiekować się dziećmi. Z czegoś trzeba było jednak żyć i tak z niedobitków dawnej bandy powstała nowa, mniej liczna, za to zdecydowana wypłynąć na szerokie wody.

Kobieta na stanowisku przywódcy paczki zbójckiej zda-

rza się wyjątkowo. Ale w paryskich gangach chuligańskich, awanturniczych raczej niż wyraźnie przestępczych, dziewczęta przejmują szefostwo nierzadko, a nawet najczęściej. Muszą być, oczywiście, odważne, czasami bezwzględne i brutalne, ale nie żąda się od nich wyuzdania, ordynarnych manier, ani pozna „wampa”. Przeciwnie, udaje im się rządzić gromadą tym łatwiej im są ładniejsze, lepiej ubrane i... lepiej wychowane. Bo o pochodzenie chłopaków nikt nie pyta, ale wśród dziewcząt najmniej widziane są z tak zwanych dobrych rodzin.

Do niedawna obowiązywał je typ B. B. Obecnie, każda chce zachować własny styl bycia, sama określa własną sylwetkę i strój. Nie toleruje się tylko karmimowania ust oraz ondulacji, modne są natomiast wydłużone, przesadnie podkrążone oczy.

Każda z dziewcząt dowodzi grupą dziesięciu do dwudziestu chłopaków, którzy są ślepo posłuszni. Wyżywają się w tańcu i w bójkach, nierzadko krwawych. Dziewczyna może nie brać bezpośredniego udziału w bijatyce, ale nie wolno jej stehorzyć i opuścić placu boju. W zamian, póki nie zawiedzie, może być pewna wierności poddanych. Wówczas zależy tylko od jej sprytu jak nie dopuścić do gangu rywalu. Mężczyźni bowiem jakoś się pogodzą, ale konkurencja między kobietami kończy się zwykle tragicznie dla całej bandy.

Największe okrucieństwa, najlepiej przemyślane kradzieże popełniają gangi dowodzone przez dziewczyny. A garnie się ich do tego światka coraz więcej. Mało zresztą ryzykują. Jeżeli nastąpi wpadka, chłopcy będą je osłaniać. Jeżeli opuszczą bandę, nikt się na nich nie będzie mścił. Tak każe kodeks honorowy.



Spójrzcie na tę dziewczynę. To be-bob przeniósł ją w jakis inny świat.

SFINKS czy ZWIERZE DOMOWE?

(Dokończenie ze str. 2)

Czy to dobrze, czy to źle? Mój Boże, na pewno dobrze, i na pewno smutno.

Przez tysiąc lat co rozsądniejsi spośród Sarmatów prowadzili walkę o taki realistyczny pozytywizm, o wyjęcie głowy z chmur fantazji, mitologii i romantyzmu. O niemaksymalistyczne, ale realne dążenia i marzenia. Które byłyby planem wykreślającym konkretne możli-

wości poczynają a nie jeszcze jedna piękna bajka epatująca swą wzniosłością przyszłe pokolenia. I oto plody owej edukacji przebijają z wypowiedzi uczniów na łamach „Głosu Robotniczego”.

A jednak smuci szczerze i wężyna obrazu przyszłości, kreślonego przez współczesnych uczniów. Ich wyobraźnię kształtuje bowiem nie szersza idea, nie to, co zwykliśmy łączyć z pojęciem marzeń, ale oszczędny zestaw przewidywań zaczerpnięty z gazetowych wieści o konkretnych planach resortów gospodarczych.

Obraz przyszłości naszych ankieterów nie zahacza o sprawy kształtu przyszłych stosunków międzyludzkich. Modelu życia, nie traktuje przyszłości jak wielkiej

przygody. Operują oni istniejącymi wokół nich konkretnymi i mają nadzieję na ilościowe rozmnożenie się przedmiotów.

Młodzież przedstawiająca się w „Głosie” dokładnie już wie, jaki zawód sobie obraze. Dokładnie wyważyła wszystkie możliwości i trudności w osiągnięciu odpowiadającego im upatrzonemu zawodowi wykształcenia.

Rzeczowość i realizm ankieterów daje optymistyczne przeświadczenie, że udam się rozmnożyć przy ich pracy telewizory i traktory, kina i szosy asfaltowe. Nie wiadomo, czy uda się dokonać rewolucji kulturalnej i obyczajowej, ale to już pojęcia pochodne.

Natomiast możemy zakładać, że jest to pokolenie, za

którego życia ilościowe problemy wytwórcze przestaną istnieć jako takie. Ze zespół współczesnych nam życiowych potrzeb, nawet potrzeb wygórowanych — zostanie zaspokojony. Ze ów przyszły świat stworzy wyższe potrzeby, wyższe nie tylko ilościowo, lecz jakościowo. Ze zespół marzeń i przewidywań piętnastolatków w 1959 r. zakrojony z większym rozmachem nie zatraciłby walorów realizmu i nie popadałby w fantasmagoryzm.

Nie chce tu ciotkować i nie wyrażam kolejnego niezadowolenia na temat, jakie to dziś jest to młode pokolenie. W odpowiedziach na ankietę „Głosu” wyczytujemy bowiem nie obraz pokolenia, ani nawet wycinek tego o-

brazu, ale odbitkę kształtu i temperatury dzisiejszego życia i przeżywania ideowego i psychicznego nas starszych. Odbitkę panującego klimatu. Wiemy zaś jak szybko, wraz z przemianami klimatów, przemijają obrazy i pseudoo-brazy pokolenia. Czas przemysleć nie sprawę pokolenia, lecz klimatu.

Zaś jeśli już o młodzież chodzi, to z łamów prasy nie znikły jeszcze wieści o poznańskim studencie, który wzięty pod włos przez koleżankę, przepłynął wpływ jeziora przy 5°C. Ani o dwóch mieszkańcach Bydgoszczy, którzy nie mając pojęcia o pilotażu gwizdali samolot, poleciali, samolot rozbił w drobny mak, a samymi wyszli bez szwanku.

W postępującym procesie

integracji społecznej biegunowe tendencje będą się wypośredkowały lub uzupełniać. Nieważne jest, jaka jest młodzież. Młodzież jest i będzie wierna i posłuszną odbitką kształtu i klimatu otaczającej ją rzeczywistości. A jeśli nawet czasem jej przystosowanie do kształtu współczesności przemienia się w reakcję na tę współczesność — jest to, jak wiemy, prawidłowość, która krótko żyje i prowadzi do tym doskonalszego przystosowania się na nowo.

BELFER

str. 10 **odgłosu**



Do sklepu „Motozbytu” przy ul. Północnej 11 nadszedł pierwszy transport części zamiennych do samochodów

„Skoda-Octavia”. „Motozbytu” zapowiada, iż w ciągu najbliższych tygodni nadejdą dalsze transporty tych części, a dla dokonania zakupów na rok przyszły wyjechał do Czechosłowacji, obok przedstawicieli „Motoimportu”, również przedstawiciele „Motozbytu”.
Miejmy więc nadzieję, iż skończy się paradoksalna sytuacja, o której pisaliśmy w naszym „Kaciku” z dnia 11 października br.



...iż jeszcze w tym roku mają ponoc nadejść do kraju niemieckie samochody malolitrażowe P-50 zwane „Trabantami”?

Warto się zastanowić

nad problemem budowy garaży w naszym mieście. Wiadomo powszechnie, iż pojazdów mechanicznych przybywa nam w rekordowym tempie i że obecnie tylko co 10 pojazd ma odpowiedni garaż. Reszta stoi na wolnym powietrzu, niszcząc na sobie i mrozie. Wiadomo również, iż ograniczone środki w budownictwie miejskim nie pozwalają na wybudowanie w przyszłym roku więcej jak 10 nowych garaży o ok. 100 „boksach”. Jest to liczba żenująco skromna, biorąc pod uwagę, iż w ciągu ostatnich lat takich garaży praktycznie się nie budowało.

Podajemy pod rozważenie po-



myśl (zresztą nie naszą, bo w jednym z dużych miast już od roku eksperyment ten stosuje się z dużym powodzeniem), aby baraki wznoszone na terenie budów dla celów administracyjnych lub magazynowych przeznaczyć potem na garaże. Same baraki, które których najczęściej jest niebagatelny (przeciętnie 100 tysięcy zł na budowę), musiałyby być budowane zgodnie z dokumentacją budowlaną garaży aby późniejsze konieczne przeróbki jak najmniej kosztowały.

Ewentualnym sceptykom pro-

ponujemy spacer po łódzkich osiedlach. Niech zobaczą, ile takich zrujnowanych baraków (budowanych z deficytowej cegły) szpeci tereny nowych bloków.

Powtarzamy więc jeszcze raz: warto się poważnie nad tą sprawą zastanowić.



...w sklepach motoryzacyjnych Miejskiego Handlu Detalicznego od szeregu tygodni nie można kupić żadnego motocykla z importu?...



...nie pomyśli się o ścieżce na rożnika ulicy Składowej przy jej skrzyżowaniu z ulicą Kilińskiego w okolicy Dworca Fabrycznego? Duży ruch samochodowy i pieszki powoduje powstawanie ciągłych „korków”; jeśli ścieżka narożnik w stronę ulicy Traugutta, dlaczego nie można tego zrobić na ulicy Składowej nawet teraz, nie czekając na majaca nastąpić przebudowę tego odcinka ulicy Kilińskiego?...

ZYGMUNT FIJAS

Kawa tylko w domu?



Zgadnam się z tymi, co twierdzą, że sposób przyrządzania kawy w ekspresie jest trudny i wymaga takiej kultury, jak sposób pisania kunsztownego artykułu, ale mimo to nie uważam, jakoby rozkosz picia kawy domowej była mniejsza od rozkoszy picia kawy... publicznej.

Kawę w domu można pić z rondelka czy ze spodka, w kawiarni nie można tego plynu pić z takich niestosownych naczyń... Kawę w domu można pić w koszulki i kałesonach, w kawiarni, niestety, nie można tego plynu pić w nogalzu.

Kawę w domu można pić przez smoczek, ba! można w nią włożyć palec i trzymać go w niej tak długo, jak nam się podoba, w kawiarni nie można sobie pozwalać na takie „ekstrawagancje”...

A spróbujcie wejść do „Bristolu”, „Malinowej” lub do krakowskiego „Wierzyńki”... z łopata, chociaż owinięta w papier, i... murarskim naczyniem, chociaż ukrytym w worku... Ponoście o miskę pasztecików.

— Dlaczego o miskę? — pyta kelner.

— Dlatego, żeby wiało więcej — odpowiadacie.

Podajacy mruka do was życzliwie, bo domyśla się, że macie jellita długie, jak wszystkie zwierzęta trawożerne, i przynosi wam żądaną miskę.

Słyszycie wtedy, jak jegośność noszący spodnie ze strzemiączkami, odzywa się na całą swą celną gębę: — Już zaczynają wpuszczać do przywiołych lokali hołotę... Znowu zaczynamy chodzić do kawiarni z kilofami... Będziemy się obwozić po salach balowych na taczkach.

Odwracacie się, aby upewnić się, skład ten głos pochodzi... I istotnie, pochodzi on od osoby występującej w starożytnych spodniach.

Spoglądacie na kelnera i bufetowe lecz daremnie są wasze milczące wołania o pomoc. Spozna bufetu wyzierają ku wam dwie pary oczu. Ośchłych jak paszteciki sprzed tygodnia, i dwie pary warg fioletowych, jak barszcz do pasztecików.

Niebawem do tych par dołącza się nienawistne spojrzenie jegośności, obdarzonego przez naturę tą samą cerą, jaką posiada smażony kiełb, i z wolna brzozi waszego krzesła stają się brzegami Madejowego łoża.

Najwyraźniej wstąpiłeś do

nie swojej świątyni, człowiecze z łopata owinięta w papier.

Możesz się chwalić, że byłeś na „Nie-Boskiej Komedii”, że ją zrozumiałeś; że wiesz, iż Paganini pisał „Kaprysy”... dla społeczności kawiarnianej tylko to znaczy, co twa przynależność do Związku Hodowców Kanarków w Polsce lub dyplom ukończenia Technikum Wodociągów i Kanalizacji... Jesteś, synu, rozłożony jak na stole prosektoryjnym!... Nawet dla hołyszów jesteś hołyszem.

Jakże inaczej w domu? Tu nikt ci nie liczy, ile pasztecików zdołałeś jeść na raz, umieścić w ustach; tu kawę możesz pić nawet z blaszanki po konserwach — tu wszelkie przesady towarzyskie mają takie znaczenie, jak ślub w małżeństwie na próbie.

Nie, nie!... Jeśli kawa, to tylko w domu.

Swego czasu Wojciech Natanson pisał: „Kawiarnie istnieją stosunkowo niedawno. Zrodziły się równocześnie ze zniżaniem feudalizmu. W kawiarni arystokrata siedział obok „hołysza” biedak obok burżuja, „dobrze wychowany obok mieszczańska”.

Nie wiercie temu kawiści. Ten archierej coffeeizmu chciał w was wmówić, że feudalizm dopiero wtedy umarł, kiedy Pan De Voltaire wziął pod pachę obywatela De Szewca, pod drugą zaś pachę przytroczył sobie jejmość prackę, która później miała opierać napoleońskich generałów, i razem jeszcze z pewnym błękitnym baronem i błękitną hrabiną poszli na róg Pod Pijaną Gilotynę aby wypić po jednej „czarnej rewolucyjnej” na cześć parlamentarnej demokracji.

Nie wiercie. Oni tam weale nie poszli a feudalizm jak istniał, tak istnieje nadal.

Bo niech no któryś z gości upuści tyżeczkę na podłogę, niech zacznie męsząc kawę palcem, niech wejdzie do nie swojej świątyni gadulstwa, zdradzi się, że jest pospolitym hołyszem... Odechoe mu się „Bristol” i „Wierzyńki”, odrzeknie się kawy i kawiarni... pójdzie z goryczą na róg do knajpy „Pod Czerwem Kropelkami” tam wysmoli ze cztery starczyście... potem w domu, z dozorczynią, krusząc kawę w móżdżku lub papierku, napije się kawy, jakiej nie pito na dworze Kapełnów.

Nie, nie, nie!... I jeszcze raz nie: jeśli kawa to tylko w domu! Amen.

Miejszadiny

pod redakcją JANA HUSZCZY

PRAWIE EROTYK

Nieźla na scenie ta panna Hela. Oklaskiem każdy ją wita. W rozmowie żywa i oczkiem strzela...

Ach, szkoda, że nie nie czyta Łączy ze słowem gest wcale, wcale... choć z trudem sztuki sens chwycił. Gdy ją spotykam, to talent chwale. Ach, szkoda, że nie nie czyta! Więc chwale talent i te jej włosy o barwie złota czy żyta. „Dla niej by kwitnąć, kropką być rosą...”

Ach, szkoda, że nie nie czyta! — Nie drukuj tego — radzi kolega —

znać cię nie zechce kobita... A ja drukuję, choć on ostrzega, bo Hela przecież nie czyta!

Z ŻYCIA POLSKICH KOMISJI

I znowu nie odbyło się posiedzenie Komisji do Spraw Kultury, zapowiedziane na dzień 26.X, na godzinę 17!

Przed tą fatalną godziną do sekretariatu Komisji telefonowali: Poeta Piechotka, iż zachorował na grype.

Dyrektor Marabut, iż musi jechać na pogrzeb teściowej.

Naczelnik Ciepłowiczowa, iż nie czuje się dostatecznie przygotowana do dyskusji.

Reżyser Tumidaj, że nie uzgodniono z nim wcześniej terminu posiedzenia i on ma w swoim rozkładzie pracę z zespołem świetlikowym „Rakieta”.

Ob. Fiejkę, że został w międzyczasie wybrany do innej Komisji.

Dr Sołowiejczyk, że on przecież i tak nigdy nie przychodził...

Rzecz przy tym zastanawiająca, iż tego samego dnia w owej fatalnej godzinie wszystkich wymienionych można było zobaczyć — jeśli to ko goś interesowało — w znanej na naszym terenie kawiarni „Pod krzywym kandelabrem”...

PRÓBA WYJŚCIA Z IMPASU

Przewodniczącym Koła Ligi Kobiet w Kielpinach został jednogłośnie wybrany znany działacz, mgr Józef Taratajko.

W okresie, poprzedzającym wybory, tamtejsze koło, podobnie jak

i wiele innych na terenie naszego kraju, nie wykazywało się żadną działalnością.
Co na to inne koła Ligi Kobiet? Co na to łódzkie koła?

NAGANA Z OSTRZEŻENIEM

Pięć lat temu oddano do użytku społeczeństwa nowo zbudowany szpital w miejscowości Zakątek. Jak stwierdziła Miejska Komisja Budowlana, budynek ten aż do tąd nie wymaga żadnego remontu. Kierownik budowy szpitala, inż. T... M..., otrzymał surową nagana z ostrzeżeniem!

WALKA Z HAŁASEM

Liczne i zdecydowane wystąpienia naszej prasy przeciwko hałasowi w obronie ciszy, sprzyjającej nerwom ludzkim, nareszcie zaczynają odnosić pożądany skutek.

Jak się dowiadujemy, w Łodzi będą jeździły — zwłaszcza, w porze nocnej — trzy zmełfonizowane samochody, propagujące w sposób popularny walkę z hałasem.

Samochody te będą bez przerwy wykrzykiwać hasła w rodzaju: „Hałas to wróg nerwów”... „Kto hałasuje, ten przeszkadza innym”... „Usuńmy źródła hałasu”...

W tramwajach pojawią się plakaty i ulotki o podobnej treści!!!

Przegląd prasy

Mumia... jako konserwa

Zakrawa to nieco na żart, a jednak jest najoczywistszą prawdą. Pewna wędrowną trupą przybyła z Kairu, przywoząc z sobą mumie, wyobrażającą któregoś z Ramzesów. Mumia służyć miała do przedstawięcia jakiejś sztuki. Dyrektor trupy, nie chcąc oddawać mumii na багаż, wziął dla niej specjalny oddział w wagonie pierwszej klasy.

Na jakiejś granicy rozpoczęto rewizję.

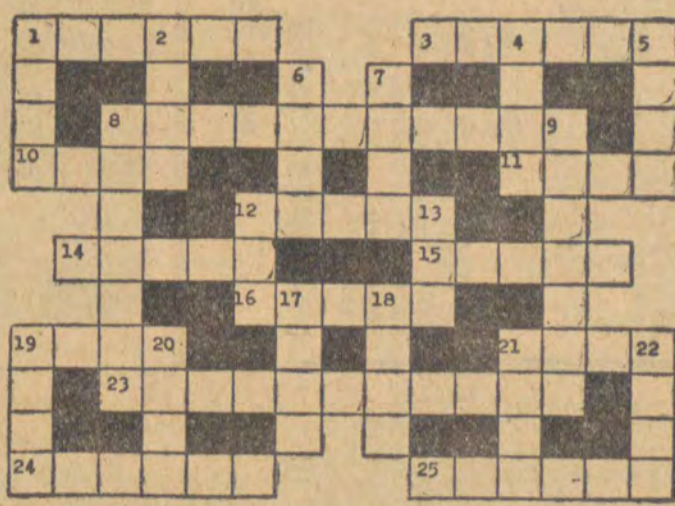
— Co to znaczy? — zapytał urzędnik, wskazując na mumie.

— Mumia...

Urzędnicy zaczęli starannie przeglądać taryfę celną — na próżno jednak, takiego produktu w spisie nie znaleźli. Po długich namysłach, naczelnik komory doszedł do przekonania, że... za mumie należy wziąć opłatę jako za konserwę. Właściciel owej „konserwy” żadaną sumę natychmiast zapłacił.

(„Wędrowiec”, 1899)

ROZRYWKI UMYSŁOWE



Znaczenie wyrazów:

POZIOMO: 1) Człowiek o ciemnych włosach, 3) Świt, 8) Nauka o psychice, 10) Chwast, 11) Gust, 12) Zarost, 14) Mara, 15) Szczyrek, 16) Zdanie, teza do rozwinięcia, 19) Pocucie umiaru, 21) Żywność, 23) Podział na trzy części, 24) Wielki ptak drapieżny, 25) Ciężka tkanina jedwabna przetykana złotą lub srebrną nicią.

PIONOWO: 1) Aliaż, 2) Natrysk, kapiel natryskowa, 4) Nieprawidłowe pochycenie samolotu, 5) Ptak, 6) Kilka osób razem śpiewających, 7) Koc, 8) Pomysł, zamiar, 9) Czołg przystosowany do poruszania się po ziemi i na wodzie, 12) Bicz, 13) Część utworu dramatycznego, 17) Nimfa, która z beznadziejnej miłości do Narcyza wyszła do tego stopnia, że pozostał z niej tylko głos, 18) Sa-

mochód, 19) Ścisł, 20) Praca, 21) Napój, 22) Wykwintne ciasto.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówek:

POZIOMO: klon, Azja, dietetyka, Jurek, Olimp, stopa, Kuba, koc, waza, Nysa, trakt, wigor, beret, regulator, świt, lato.

PIONOWO: komik, czako, Prus, etat, stop, Lima, dekorator, alabaster, szpat, obawa, akant, siła, rzut, krab, bera, remis, bosak.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówek wylosowali:

1. Bogdan Józefowicz, Bardo, Ociecieki, pow. Kielce.

2. Sylwester Stasiak, Łódź, ul. Bystrzycka 3/5.

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 O Wzrostki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. O Redakcja nie zamawia reklam bez opłaty. O Prenumerata otrzymuje wszystkie plakaty pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Ogłoszenia” Druk RSW „Prasa” — Łódź. Zwrotki 17. Z. 3260. X. 59. S-3

odgłosu str. 11

